708.

6K

K. Junosza i K. Laskowski.

Wyścig Dystansowy.

OBRAZ SCENICZNY W 3 AKTACH.

WARSZAWA.
NAKŁADEM KSIĘGARNI
Teodora Paprockiego i S-ki.
41 Nowy-Świat 41.
1895.

WARSZAWA. DRUK EMILA SKIWSKIEGO

WYŚCIG DYSTANSOWY.

K. Junosza i K. Laskowski.

WYŚCIG DYSTANSOWY.

OBRAZ SCENICZNY W 3 AKTACH.

WARSZAWA.
NAKŁADEM KSIĘGARNI
Teodora Paprockiego i S-ki.
41. Nowy-Świat 41.
1895.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 1 Ноября 1894 года.

Warszawa. Drukiem Emila Skiwskiego.

OSOBY:

Karol (Pucio).
Ewa, **Sabina** — ciotki Karola, stare panny.
Atanazy, stryj Karola.
Paweł, właściciel folwarku.
Anna, jego córka.
Katarzyna Nierusz, pokojówka.
Jacek Pieróg, stangret.
Uszer Ambaras, pachciarz.
Abram Plajterman, kupiec zbożowy.
Lejbuś Gryps, wspólnik Plajtermana.
Berek Fajn, faktor.
Sałacki Michał, ekonom.
Polowy.
Onufry, kucharz.
Parobcy.

AKT I.

Scena przedstawia pokój skromnie umeblowany, przez środkowe drzwi widać w drugim pokoju stół nakryty.

SCENA I.

Sabina (*stoi przy stole i przyrządza sałatę, trzymając salaterkę w ręku*).

— Lada chwila przyjadą... ach, jak mi serce bije!... Taka ważna chwila w życiu mego najdroższego Pucia! Biedny chłopiec! losy jego ważą się w tym momencie... a może już są zważone... I bez wątpienia... już... Przyjęty... czy odrzucony, szczęśliwy, czy też otrzymał cios w samo serce? Nie, Andzia nie byłaby tak okrutną... Ach! temu lat (*ogląda się, czy kto nie słucha*), ach! tak, będzie temu lat dwadzieścia, ja zadałam taki cios Edwardowi... Powiedziałam: nie, nie i nie... gdy odszedł, chciałam biedz za nim i wołać: tak! tak!—ale on już odjechał i nie wrócił... oh! to było okropne!... Biedny chłopak! naprzód chciał się zastrzelić, potem otruć, a wreszcie ożenił się z wdową po

dzierżawcy z Bartkowa i ogromnie utył... zapewne z desperacyi (*za sceną słychać krzyki: „a pójdziesz, nie rusz, oddaj zaraz!“*). Co się stało?!

SCENA II.

Sabina, Ewa, Katarzyna (*wchodzi Ewa*).

Sabina.

Siostruniu! co się stało, co to za hałasy?

Katarzyna (*wbiega ze stołowego pokoju*).

A no, proszę pani, nic, tylko...

Ewa.

Tylko co?—mówże zaraz, niemrawo!

Sabina.

Powiedz-że raz, kochaneczko, nie trzymaj nas, jak na węglach.

Katarzyna.

A proszę pani, zawsze te psiska zatracone! Coraz który wlezie do kuchni, ani się opędzić.

Sabina.

I co? i co?

Katarzyna.

A no nic... Kucharz miał wsadzać pieczeń na rożen i jeno się tylko obrócił, a tu niewiadomo skąd Zagraj wpadł, pieczeń porwał i w nogi! Kucharz za nim i nie wiele myśląc, chwycił konewkę, rzucił na Zagraja... Konewkę rozbił, a psu bajki.

Ewa.

A to łajdak!

Katarzyna.

Juści, że łajdak.

Sabina.

Co się dziwić? pies jak pies, on edukacyi nie ma, na pensyę nie chodził.

Ewa.

Zapewne, może go siostrunia jeszcze za to pogłaszcze. (*Do Katarzyny*). I cóż się z tą pieczenią ostatecznie stało—zjadł pies, czy nie?

Katarzyna.

Niewiadomo. Kucharz się za nim do tej pory ugania, ale pies nie głupi. Co mu kto zrobi? Złapał, to złapał, a choć go Onufry...

Sabina.

Byle mu tylko nie zaszkodziło.

Katarzyna.

I... proszę pani, co mu ma zaszkodzić... Chłopisko zdrów jak krzemień.

Sabina.

Ależ ja o Zagraju mówię — toż rozchorować się może.

Ewa.

Dajże, siostro, pokój z temi czułościami—dla psa. Co do mnie, kazałabym go zastrzelić bez apelacyi.

Sabina.

Ach, nie mów tak... to okropne!

Ewa.

Zapewne... Ty płakać będziesz z obawy o Zagraja, a tymczasem cały obiad perdu! Przyjedzie Karol z Atanazym i cóż im dasz? Może sałaty!

Sabina.

Doskonała będzie... jak cię kocham, siostruniu; właśnie przyrządzam.

Ewa.

Eh! moja kochana... Sałata dobra dla kanarków, ale nie dla mężczyzn, mających dobry apetyt—im trzeba mięsa.

Sabina.

Tak, ale skoro zjedzone.

Ewa.

To należy postarać się o jakie inne... Siostra bo lubi tylko wzdychać i czytać czułe romanse... To na nic. Katarzyno!

Katarzyna.

Słucham pani.

Ewa.

Biegaj co żywo do pachciarza, powiedz mu, co się stało, i niech się postara o mięso. Jeżeli ma, niech przyniesie; jeżeli nie ma, niech bierze, skąd chce. Od tego jest pachciarz, żeby miał wszystko, co potrzeba. Biegnij natychmiast, na jednej nodze, i powiedz temu gamo-

niowi Onufremu, żeby tu przyszedł. Tylko uważasz: natychmiast, na jednej nodze!

Katarzyna.

Słucham... słucham (*wybiega*).

SCENA III.

Sabina—Ewa.

Sabina.

A we mnie, duszko, kochanie, ciągle serce bije, bardzo, mocno bije, tak bije, że opowiedzieć nie mogę.

Ewa.

Masz też co opowiadać! Wiadomo, że w każdem żyjącem stworzeniu serce bije—dlaczegóż nie miałoby bić w tobie?

Sabina.

Siostruniu—duszko... nie rozumiesz... Bije z obawy o los mojego siostrzeńca... a ja myślę, że i ty jesteś niespokojna... przecie on obchodzi cię także cokolwieczek.

Ewa.

Spodziewam się, ale to jeszcze nie racya, żebym miała dostawać nadzwyczajnego bicia serca.

Sabina.

Więc nie chcesz, żeby się Pucio ożenił?

Ewa.

Ależ przeciwnie, pragnę tego. Karol jest dobry chłopiec, ale trochę lekkomyślny, trzeba

więc, żeby się ożenił i żeby go młoda i energiczna żona od razu wzięła za uszy; to jeszcze będzie z niego człowiek.

Sabina.

Ach, zaraz za uszy!!

Ewa.

No, więc, jeżeli wolisz, niech go weźmie za czuprynę, zapędzi do pracy; niech mu nie pozwoli długo sypiać, jeździć na zabawy, pożyczać pieniędzy. Niech mu każe wstawać do dnia, cały dzień przepędzić na polu — stać przy robotnikach, pilnować, żeby wszystko było w porządku. Oto, czego ja chcę...

Sabina.

Siostruniu — duszko — takież to masz wyobrażenie o słodkich pętach miłości... wszakże sama jesteś...

Ewa.

Może zakochana? Nie, moja siostro, w naszych latach możnaby już nie myśleć o takich głupstwach.

Sabina.

Przepraszam, siostruniu — duszko. Jeżeli wola, mów o sobie. Ja ci przecież plenipotencyi nie dawałam...

Ewa.

Jakto! Więc ty...

Sabina.

A, rozumie się, siostruniu, że „więc;“ i gdybym znalazła człowieka, któryby mnie zrozumiał, to...

Ewa.

No, no, nie wiedziałam—ale ponieważ, jak sądzę, takiego człowieka jeszcze nie upatrzyłaś, więc mówmy o Karolu, czyli o Puciu, jak go pieszczotliwie nazywasz. Bardzo pragnę, żeby się ożenił, żeby go żona wzięła w kluby i żeby posagiem swym podniosła dość smutny stan finansowy Kozich-dołków. To dla nas samych kwestya bardzo ważna.

Sabina.

Dla nas... oczywiście, siostruniu—duszko—przecież my tak naszego Pucia kochamy.

Ewa.

A niezależnie od tego, mamy na Kozich-dołkach sumę, stanowiącą cały nasz majątek. Jeżeli się Karol nie ożeni w krótkim czasie i posagu nie weźmie — to może być źle.

Sabina.

W jakim sensie to, siostruniu — duszko, rozumiesz?

Ewa.

W takim, że jak Karol długów nie zapłaci... to za jakiś czas Kozie-dołki wystawione zostaną na sprzedaż, nasza suma spadnie, a my pójdziemy na grzyby.

Sabina.

Suma spadnie? my na grzyby pójdziemy... Nie — to przecież niemożliwe!

SCENA IV.

Sabina, Ewa, Onufry, potem **Katarzyna.**

Onufry (*wchodzi zasapany*).

Duchu w sobie nie czuję!... Goniłem gałgana, według głupiej mojej kompetencyi. On przez płot i ja przez płot. Już go prawie mam... On przez rów i ja przez rów... Rzuciłem kamieniem... Zaskowyczał... upuścił w piasek... Ja do niego, on znowu mięso w zęby... żeby zmarniał! Uciekł, proszę pani, przepadło, i już nie mam innego sposobu, tylko, na przykład...

Ewa.

Co?

Onufry.

A no, jak go zobaczę—to mu nogę przetrącę... przysiągłem, że to zrobię.

Sabina.

Ani mi się waż, mój Onufry... jak można!

Onufry.

Pani powiada, żebym się nie ważył, a z czego zrobię obiad teraz? Pana tylko patrzeć, a i pan Atanazy ma przyjechać... Trzeba coś zrobić, i właśnie przyszedłem według dyspozycyi.

Ewa.

Może koguta, albo kaczkę.

Onufry.

Podług mojej głupiej kompetencyi, jest w owczarni baran trochę mdły. Owczarz mówił, że już niema dla niego innego lekarstwa, tylko, żeby go niby zarżnąć... Jak pani każe?...

Sabina.

Po co? na co? Onufryby tylko zabijał — słuchać o tem nie mogę.

Ewa.

Może pachciarz ma mięso. Właśnie posłałam Katarzynę. Zdaje się, że już wraca.

Katarzyna (*wchodzi*).

Proszę pani, Uszer powiedział, że nie ma ani odrobiny, ale obiecał, że na wieczór się postara. Podobno na kolonii u Niemca krowa nogę złamala, i już się do niej żydy zlatują, to i mięso będzie. I gazety, proszę pani, pachciarz oddał. Oto są... (*Kładzie na stole paczkę gazet*).

Onufry.

Już inaczej, podług mojej głupiej kompetencyi, nie może być, tylko ten baran. Oglądałem go—chudy, bo chudy... ale skoro niema nic inszego, musi być i taki.

Ewa.

Niech więc tak będzie. Nie mamy wyboru.

Sabina (*patrząc na Onufrego, n. s.*).

Tygrys krwiożerczy! (*Za sceną słychać trzaskanie z bicza*).

Ewa.

Masz tobie! już jadą! Onufry! Katarzyno! żwawo pośpieszajcie. Co ja zrobię?!

(*Onufry i Katarzyna wychodzą*).

Sabina.

Ach, siostruniu—duszko, jak we mnie serce bije, jak bije!!

SCENA V.

Ewa—Sabina—Atanazy.

Atanazy.

Witam kochane panie, witam... Moje uszanowanie od czasu do czasu.

Sabina.

I cóż? i cóż? Jakiż rezultat? gdzie Pucio?

Atanazy.

Wysiadł przed stajnią.

Sabina.

Widzisz, siostruniu—duszko, jaki to pracowity chłopiec, a ty o czuprynie mówiłaś.

Ewa.

Panie Atanazy, jakże tam? na czem stanęło?

Atanazy.

Ha... zaraz to się wyjaśni, ale jeżeli mam prawdę powiedzieć, od czasu do czasu głodny jestem.

Sabina.

Obiad trochę dziś spóźniony, ale tymczasem podamy jaką przekąskę. Siostruniu—

duszko, przynieś-no starkę—a ja przyszykuję chleb, masło, konfitury.

Atanazy.

Także romans!

Sabina.

Ach, istotnie romans. Kochany Pucio! Jak on ją kocha, jak szalenie ją kocha!

Atanazy.

Ja mówię, że konfitury to romans... Wolałbym coś podobniejszego do jedzenia od czasu do czasu.

Sabina (*n. s*).

Konfitury to u niego romans!... Szkaradny dziad!

Atanazy.

Co pani mówi?

Sabina.

Mówię, że pan dobrodziej prześlicznie dziś wygląda, jak rożyczka, doprawdy.

Atanazy.

A no, wyglądało się niegdyś od czasu do czasu. Tak; było, lecz się zmyło, był obraz, ale oblazł. Szczerze mówiąc, panno Sabino dobrodziejko, to my z panią jesteśmy prawie jednolatki.

Sabina (*n. s.*).

Impertynent! (*Głośno*). Niechże nam pan powie, co się stało w Rudce; jesteśmy tak ciekawe.

Atanazy.

Zaraz... powoli... po porządku, i do tego przyjdziemy. Ja bo lubię, od czasu do czasu, systematycznie.

Ewa.

Proszę do stołu... Tymczasem, zanim będzie obiad... czem chata bogata... Kieliszek starki, panie Atanazy.

Atanazy (*siada przy stole, nalewa kieliszek, wychyla i zabiera się do jedzenia. Ewa i Sabina siadają obok*).

Oho! oho! proszę... co za starka... to jest delicya... od czasu do czasu...

Ewa.

Bardzo nas cieszy, że panu smakuje.

Atanazy.

Niema się czego cieszyć, bo ja od czasu do czasu wyznaję zasadę: że „gdy piwo na kadzi, wypić nie zawadzi;“ jestem też zdania, że „co na placu, to nieprzyjaciel;“ a od małego dziecka trzymałem się mądrej maksymy, że „co masz wypić jutro, wypij dziś, aby ci przed jutrem nie wypił kto inny.“ (*Nalewa kieliszek i wychyla*).

Sabina (*n. s.*).

Dziad impertynent i nałogowy!

Atanazy.

Co pani dobrodziejka powiada?

Sabina.

Mówię, że się pan zna.

Atanazy.

Od czasu do czasu, a na starkach szczególniej... Ze stu wódek wybiorę starkę, ze stada kuropatw trafię w starkę, a co do innych starek... mam też swoje przekonania... niewzruszone.

Ewa.

I jakże w Rudce, panie Atanazy? cóżeście zwojowali ostatecznie?

Atanazy.

A to niech już paniom Karol opowiada.

Sabina.

Więc odmówili?

Atanazy.

Dlaczego mieli odmówić!?

Sabina.

Ach, chwalić Boga!... zatem Pucio przyjęty! Więc będzie wesele... Ach! jakam szczęśliwa! Niewymownie szczęśliwa! I to wszystko dzięki panu! Doprawdy, uściskałabym pana za to.

Atanazy.

Jeżeli inaczej być nie może, to od czasu do czasu i owszem; ale za coby mnie ten honor miał spotkać, wyrozumieć nie mogę. Nie mam pojęcia...

Ewa.

Za doskonałe przeprowadzenie sprawy Karola w Rudce,—za to, że, dzięki panu, został przyjęty.

Atanazy.

Pierwsze słyszę.

Sabina.

Przecież sam pan powiedziałeś przed chwilą, że go nie odrzucono.

Atanazy.

To prawda.

Ewa.

A więc przyjęto!

Atanazy.

Doskonała starka! (*Nalewa kieliszek i wychyla*). Że nie odrzucono, to prawda, ale żeby przyjęto, to znowuż nieprawda.

Sabina.

Wie pan, że niegodziwie jest dręczyć niepewnością dwie ciotki, dwie kobiety, szczerze kochające swego siostrzeńca. Rozumie pan chyba...

Atanazy.

Od czasu do czasu rozumiem, i mówię ogólnie, że go ani przyjęto, ani nie przyjęto. Panna powiedziała ni tak, ni owak. Od czasu do czasu, lepsza taka odpowiedź, aniżeli formalna odprawa. Nadzieja nie stracona. Zresztą on sam idzie, to opowie dokładnie, jak było...

SCENA VI.

Ewa, Sabina, Atanazy, Karol.

Ewa.

Karolu!

Sabina.

Puciu najdroższy! nieszczęśliwe dziecko!... Mów, na Boga, mów...

Atanazy.

Wpierw się od czasu do czasu wódki napij. W ręce twoje! (*Nalewa i podaje*). A teraz mów, bo panie są bardzo niespokojne... Opowiadaj po porządku, ze szczegółami, a nie hafituj, koteczku, bo to nie o polowaniu rzecz, tylko o pannie.

Karol.

A to było tak... Jedziemy ze stryjem... droga niegodziwa; ale żem zapowiedział Jackowi, żeby po kawalersku jechał, więc jechał... Konie w pianie, ale to nic. Ten lejcowy, co go nie dawno kupiłem, pyszny! Chodzi znakomicie.

Ewa.

Ale panna?

Karol.

W tej chwili, cioteczko, zaraz. Jedziemy, przyjeżdżamy do Rudki. Jacek się popisał—strzelił z bicza, jak z dubeltówki, i osadził ślicznie. Panna stała w oknie...

Sabina.

To dobry znak.

Atanazy.

Od czasu do czasu bywa i nie dobry.

Karol.

Wchodzimy i zaraz do rzeczy. Ja do panny, stryjaszek do ojca. Wyznałem moje uczucia. Jest to trochę subiekcyonalne, ale ponieważ inaczej nie można... więc wyznałem. Od słowa do słowa, wyklarowało się wszystko... panna wystąpiła z perorą.

Sabina.

O, po takiej emancypantce wszystkiego można się spodziewać!

Atanazy.

To jednak było, od czasu do czasu, że tak powiem, nie głupie—prawda, Karolu?

Karol.

Zapewne. Powiada: „Ja przeciw panu nic nie mam, owszem, jesteś dla mnie sympatyczny, ale nie zostanę pańską żoną, teraz przynajmniej. Trzeba na to zasłużyć.“

Sabina.

Zasłużyć... patrzcie, jak się droży. Taki śliczny chłopiec i jeszcze musi się zasługiwać.

Ewa.

Nie przerywaj, Sabinko.

Karol.

Tak, ciociu, prawiła kazanie jak z książki... „Pan—mówi — jesteś młody człowiek, przed

panem świat otwarty. Dotychczas marnowałeś czas i nie robiłeś nic. Ja za pana wyjść nie mogę; trzeba, żebyś się czemś odznaczył, żebyś zrobił coś dla ludzi, żeby o panu mówiono: „Oto jest człowiek dzielny.“ Wówczas oddam panu moją rękę bez wahania.“

Sabina.

Szkaradna emancypantka! Jakichże odznaczeń ona żąda?

Karol.

Nie wiem; ale że jest śliczna, to śliczna... prawda, stryjku?

Atanazy.

Prawda... Żółta jak oliwa, ma obrączkę i, na moje oko, liczy sobie najmniej 40 lat.

Sabina.

Andzia! Nie ma nawet dwudziestu— sama ją na rękach nosiłam. Skąd znowuż czterdzieści!

Atanazy.

Ja, pani dobrodziejko, mówię o starce... od czasu do czasu...

Karol.

Śliczna panna... a wymowna—o, wymowna! Gdy wspomniałem o mojej czwórce, która dla ochłodzenia defilowała po dziedzińcu, panna zaczęła dopytywać o konie fornalskie i bydło...

Sabina.

Widzicie—taka bogata, a przecież chciwa. Dawniej panny nie patrzały na krowy. Wstydziłabym się zapytać kawalera, ile ma koni fornalskich. Kocha—to dosyć.

Ewa.

Taki czas—panny są praktyczne. A jakże ojciec przyjął propozycyę?

Atanazy.

Od czasu do czasu dobrze—tak samo, jak córka... Niech się odznaczy. Ja go znam—to twardy człowiek; będzie się tego trzymał, jak pijany płotu... i prędzej Karolek zobaczy, od czasu do czasu, swoje ucho, aniżeli Andzia zostanie jego żoną. Trzeba się odznaczyć—niema rady.

Karol.

Ma stryjaszek słuszność. Trzeba się odznaczyć... bez tego ani ani...

Sabina.

Ja od razu miałam złe przeczucie. Śnił mi się doktor i aptekarz, a to oznacza zmowę.

Ewa.

Sabinko, dajże pokój, kto w sny wierzy!

Atanazy.

Ja wierzę od czasu do czasu. Dziś, na przykład, widziałem we śnie Cyganów—i co panie powiecie?...—głodny jestem. Z łaski kocha-

nych pań przekąsiłem cokolwiek, ale przekąsić to nie znaczy jeść.

Ewa.

Za kwadrans najdalej podadzą obiad.

Atanazy.

To ślicznie, pani dobrodziejko. Aha! są gazety (*bierze gazety ze stołu*). Dobrze jest wiedzieć, co się dzieje w świecie. Obaczymy. (*Siada i zaczyna czytać*).

Karol (*chodząc po pokoju w zamyśleniu, d. s.*).

Czem ja się odznaczę?... czem ja się odznaczę?

Sabina (*również chodząc, n. s.*).

Czem się ten biedny Pucio odznaczy?

Ewa (*j. w.*).

Czemby się ten chłopiec mógł odznaczyć?

Atanazy (*czyta*).

Berlin krótki... Wiedeń długi... Kto ich tam zrozumie!... Z handlu zbożowego: pszenica spokojnie, groch wyczekująco, jęczmień ospale... Kiedyż, u dyabła, skończy się ta ospałość, spokojność i wyczekiwanie?

(*Sabina i Karol, chodzący po scenie, wpadają na siebie*).

Sabina.

Ach!

Karol.

Cioteczko najdroższa, przepraszam za moją nieuwagę, ale panna klina mi w głowę zabiła, tak, że myśli zebrać nie mogę.

Sabina.

Ja to rozumiem, drogie dziecko. Ach, do czego prowadzi ta dzika emancypacya!... Odznaczeń żąda... Czy nie dość, że ją kocha?...

Ewa.

Nie trzeba narzekać, lecz działać. Karolek musi się odznaczyć, musi się ożenić z Andzią— bo, pominąwszy stronę uczuciową, małżeństwo jest kwestyą bytu. Kozie-dołki muszą być oczyszczone, Karolek ożeniony, a nasza suma utrzymana. Panie Atanazy!

Atanazy.

Jestem od czasu do czasu. Co pani rozkaże?

Ewa.

Jesteś pan rodzonym stryjem Karola i mam nadzieję, że go nie opuścisz w kłopocie...

Atanazy.

A, nie. Na cóż miałbym go opuszczać?

Ewa.

Musimy więc odbyć radę familijną.

Atanazy.

Jakto? tak *stante pede*, zaraz?

Ewa.

Naturalnie.

Sabina.

O, tak — zaraz — natychmiast. Tu idzie o szczęście dwóch serc młodych, dwóch dusz, dążących do harmonijnego...

Atanazy.

Moje panie, mam od czasu do czasu lat blizko 50, widziałem w mojem życiu różne rady familijne, ale takiej, którąby się odbywała przed obiadem, nie widziałem jeszcze nigdy! To jest, od czasu do czasu, nieformalność—i niech kto chce wertuje kodeks francuski, nie znajdzie artykułu, któryby wymagał, żeby członkowie rady familijnej obradowali na głodno. Trzeba szanować tradycyę i uprawniony przez zwyczaj porządek; a porządek jest taki: § 1. Zjazd i śniadanie. § 2. Sprawdzenie kompletu członków—obiad i cygara. § 3. Właściwa rada familijna. § 4. Preferans albo wint, jak kto woli. § 5. Kolacya. Tak zawsze bywało i tak powinno być teraz, bo inaczej to będzie, od czasu do czasu, nieformalność.

Ewa.

Obiad będzie niezadługo, a tymczasem radźmy.

Atanazy.

Cóż robić! Z kobietami od czasu do czasu trudno wojować. Mamy radzić, to radźmy. Siadajcie panie; rada nie może się odbywać inaczej. Karolu, siadaj, bardzo proszę. (*Wszyscy siadają*). Żeby nie było długiego bałamuctwa, posiedzenie otwieram, a siebie wybieram na przewodniczącego, od czasu do czasu, jednomyślnie, a to dlatego: 1-mo, że dam się na takie stanowiska nie powołuje; 2-o, że Karol w sprawie własnej przewodniczyć nie może. Posiedzenie otwarte: mamy radzić, czem się Karolek ma odznaczyć, a panny Ewy nawiasowo zapytuję, jaka będzie zupa?

Sabina (*n. s.*).

Żarłoczny dziad i opój bezwstydny!

Ewa.

Zupa z powideł na zimno, z lodem.

Atanazy (*zrywając się z krzesła*).

Jak żyję, nie widziałem takiej rady familijnej... niechby chociaż barszcz od czasu do czasu.

Sabina.

Zrobimy dla pana co innego.

Atanazy.

Przepraszam, jeżeli obraziłem,—ale jesteśmy poniekąd w gronie familijnem, więc nieco otwartości nie zawadzi. Ja sobie powtarzam nieraz, że kto taką potrawę wymyślił, powinien był, od czasu do czasu, z piekła nie wyjrzeć... Ale zaczynamy. Panna Sabina ma głos.

Sabina.

Cóż mi z tego, kiedy nie mogę wpaść na pomysł. Niechby napisał jakie dzieło.

Ewa.

O tem niema co mówić — jest zbyt młody.

Atanazy.

Chciałaś pani powiedzieć, że za głupi. Nic to nie przeszkadza—może z powodzeniem udawać dekadenta i pisać wiersze od siedmiu boleści. Nie zrozumieją go—tem lepiej, bo i on sam siebie nie zrozumie; ale choćby napisał, to nie wiem, czy panna uzna to za odznaczenie.

Sabina.

Jakżeż można?!

Karol.

Z góry wypraszam się od wszystkiego, co ma związek z atramentem. Nie mam do tego najmniejszego powołania.

Sabina.

Szczery chłopaczek, złota duszka! A możebyś ty, Puciu, wynalazł nową figurę kontredansa lub mazura...

Karol.

To prędzej, jak ciocię kocham... to prędzej... Tańczyć, nie chwaląc się, umiem, a pomysły miewam... Pamięta ciocia... na weselu u państwa Romanowstwa kto tak znakomicie tańce prowadził?

Sabina.

Oczywiście, ty, duszko.

Ewa.

Dajcie pokój—to zła myśl. Panna sensatka jest, tańcami do niej nie trafi. Prędzej mo-

żeby Karolek wynalazł coś nowego w dziedzinie agronomii.

Karol.

Kochana ciociu, na tej drodze doszedłem już do szczytu... doprawdy; skoro potrafiłem z Plajtermana wydobyć przeszłego roku 300 rubli, to już do wyższych rezultatów nie dojdę... chociaż Andzię kocham szalenie.

Atanazy.

O wynalazkach nie mówmy, bo chłopak widocznie nie ma do nich szczęścia. Ameryki już nie odkryje, gdyż mu ją z przed nosa porwał Kolumb; prochu nie wynajdzie, gdyż zrobił to Szwarc i, jak mówią od czasu do czasu—Chińczycy; nie wymyśli fonografu, dzięki intrygom Edisona; nie sprowadzi nawet Eusapii, bo już była sprowadzana i straciła urok nowości.

Ewa.

Więc cóż nareszcie ten chłopak ma zrobić?

Sabina.

Tak — co to biedne dziecko ma zrobić?

Atanazy (*w roztargnieniu przeglądając gazetę*).

Niech pomyśli... może przecie co znajdzie.

Karol.

Cioteczki myślą, że ja nie mam chęci do pracy... Mam, a zwłaszcza, aby się przypodobać Andzi, pracowałbym jak parobek, choćby tu, w Kozich-dołkach... ale taka praca nie od-

znaczy mnie, a Andzia żąda odznaczenia. Dajmy na to, że zajmę się wszystkiem, że odprawię ekonoma...—czyż ona dowie się o tem? czy uzna, że to dobrze z mej strony? Rezultatu zaraz być nie może, a tymczasem trafi się kto inny, zabierze ją... i wszystko, wszystko przepadnie z kretesem, bezpowrotnie, a mnie nie pozostanie nic innego, jak wziąć dubeltówkę i... co tam! raz kozie śmierć!... To także będzie odznaczenie...

Sabina.

Puciu drogi... Puciu! nie mów tak, bo serce mi pęknie!

Atanazy (*gwałtownie zrywając się*).

Eureka! Jesteś odznaczony. Zwycięstwo, honor, ogromna nagroda i od czasu do czasu panna.

Wszyscy.

Co? co? Jakim sposobem?

SCENA VII.

Ciż i Katarzyna.

Katarzyna (*wchodząc*).

Obiad gotów... czy podać?

Sabina.

W takiej chwili?!...

Ewa.

Możeby się wstrzymać wobec?...

Atanazy.

Niech go licho porwie! Mamy coś ważniejszego do roboty.

Ewa.

Nie, jeszcze nie podawaj.

Katarzyna (*n s.*).

Kto ich zrozumie! Dopiero gwałtują, że niema obiadu, to się znowu nagle odmienia. Niech ich z taką fantazyą! (*Odchodzi*).

Atanazy (*trzymając gazetę*).

Proszę tylko od czasu do czasu posłuchać: „Wyścig dystansowy—wiorst dwieście, nagroda pierwsza 2,000 rubli, druga 1,500, trzecia 1,000. Dopuszczone konie wszelkiego pochodzenia i wieku.“ A co?!

Sabina.

Myślałam, że naprawdę coś nadzwyczajnego.

Ewa.

Ja nie rozumiem.

Atanazy.

Ależ to od czasu do czasu jasne jak słońce. Wyścig dystansowy! Nic panie nie rozumiecie?

Ewa.

Nic a nic!

Atanazy.

Cha! cha! to paradne! Karol jedzie, Karol bierze pierwszą nagrodę, Karol się odznacza... no i bierze pannę... a co!

Karol (*rzuca się na szyję Atanazego*).

Stryjaszku, jesteś wielki! Oto naprawdę myśl genialna! Jadę, biorę nagrodę, odznaczam się. Dlaczego nie?... Ale na czem?

Atanazy.

Oczywiście na koniu.

Ewa.

Tak... na koniu. Zaczynam rozumieć.

Sabina

Racya, racya—to świetny pomysł. Pucio jest lekki, zręczny, śmiały, jeździ doskonale i niezawodnie nagroda go nie minie. Rzeczywiście, miałam przeczucie jakieś; śniło mi się onegdaj, że tłukłam pieprz, a to oznacza przyjemną i radosną nowinę. Oh! teraz oddycham swobodniej, nadzieja wstępuje w moje biedne serce. Puciu, ty musisz być szczęśliwy.

Karol.

Będę, ciociu. Ale najgorzej z koniem.

Atanazy.

A ten lejcowy twój, co?

Karol.

Chody ma, ale przyciężki, proszę stryja, i—zdaje mi się—wapnem był pasiony... nie wytrzyma takiego rekordu.

Atanazy.

Hm! Poszlij-no po swego pachciarza.

(*Karol idzie ku drzwiom, wychodzi na chwilę i wraca*).

Atanazy.

Mój kochany, rady moje w tym razie mogą być bardzo pożyteczne—jestem albowiem doświadczony sportsman; i jeżeli inaczej sobie nie poradzimy, dam ci mego „Wielkiego Szlema.“ Znasz go przecie—pyszny egzemplarz, chociaż tylko $^1/_{16}$ krwi. Powiem ci jego rodowód z pamięci. Uważasz: po „Bezatu“ od „Konwersyi,“ a „Bezatu“ znakomitość po „Parcelacyi“ i „Mnożniku,“ „Konwersya“ idzie od „Debory;“ po prostu kupiona była od Dwojry—między nami powiedziawszy,—ale taka koligacya uchodzi, szczególnie w arystokratycznych sferach.

SCENA VIII.

Ciż—Uszer.

Uszer (*wsuwa się dyskretnie i staje przy drzwiach*).

Pan wołał — przychodzę. Co pan każe?

Atanazy.

Słuchaj-no, Uszer, jesteś sprytny żydek.

Uszer.

Oj, oj!

Atanazy.

Trzeba się żwawo zawinąć i kupić konia.

Uszer.

Konia? Choćby dziesięć koni—też może być.

Atanazy.

Nie tak łatwo, jak myślisz; nam potrzebny jest zaraz, ale to zaraz, i to nie taki koń, jak ci się zdaje, ale angielski, pół angielski.

Sabina.

Koniecznie angielski... bo jak się odznaczyć, to tylko na angielskim.

Uszer.

Za co nie? — ja takiego konia już mam. Ha! ha! co za kuń! jaki kuń!... żeby nasze wrogi takiego konia nie widzieli!

Atanazy.

I angielski?

Uszer.

Przysięgać na to nie mogę, ale pewno angielski, bo wygląda... ach, jak ten kuń wygląda!

Atanazy.

No jakże?

Uszer.

On wygląda niekoniecznie jak angielski, ale jak holenderski bik!—takie paskudne ślepie ma, takie nieprzyjemne spojrzenie. Ładne kawałek bydlę: krótkie nogi, kark gruby, a tłusty, jak ja, z wielkiem przeproszeniem... ja muszę przy tem pomyśleniu trochę splunąć!

Karol.

A jakież jest jego pochodzenie?

Uszer.

Z Warszawy.

Atanazy.

Z jakiej stajni?

Uszer.

Skąd ja mam wiedzieć, z jakiej? Ze stajni... kuń zawsze jest ze stajni, a ten holenderski Anglik to naprawdę jest z browaru. On woził piwo po Warszawie. Aj! żebym ja miał dziesięć procent tych antałków, co on woził. Ha! ha! On się tam wypasł—on jadł same słodziny, a może i bawarskie piwo pił. Wielki paradyer... wielki cugant! Jego można nie drogo kupić, bo ma teraz fontynellę na prawej łopatce. Śliczny kuń!

Karol.

Stryju, z nim niema co mówić! On się nie zna!

Uszer.

Ja się nie znam? Uszer się nie zna—a kto będzie się znał? Na jaki użytek pan potrzebuje konia?

Karol.

Na wyścig dystansowy.

Sabina.

Tak... Pucio weźmie nagrodę 2,000 rubli i medal złoty.

Uszer.

Dwa tysiące i medal! Ja sambym pojechał, żebym tylko zdrowie miał. Teraz już wiem—pan potrzebuje na taki interes wielki

kuń, chudy kuń, żeby nie dźwigał dużo mięsa. Owszem, ja i takiego znajdę. Już mam—nie jest bardzo młody, ale ma wielki fajer. Jak idzie, to w nim cała muzyka gra; ma maleńki feler na jedno oko, ale to nic nie szkodzi... nie będzie czytał gazet, tylko ma lecieć po nagrodę. Nu, jakże, proszę pana, czy mam kupić tego cuganta?

Atanazy.

Nie, nie. Idź-no i każ tu przynieść wagę.

Uszer.

Bezmian?

Atanazy (*wskazując na Karola*).

Pana zważymy. Niech przyniosą wagę dziesiętną.

Uszer (*n. s.*).

Na co jego ważyć?! Na majątek on mało waży, a na mięso wcale nie jest towar. (*Wychodzi*).

SCENA IX.

Ciż—później **Uszer, Sałacki, dwaj parobcy.**

Atanazy.

Od czasu do czasu zapalam się do tej myśli—jedziemy, pobijemy, bierzemy nagrodę i pannę. Na żyda niema co liczyć. Bierz „Wielkiego Szlema,“ trenuj go i zdobywaj nagrodę...

Karol (*rzuca się w jego objęcia*).

Stryjaszku! czem ja ci to odwdzięczę?!

Atanazy.

Wygraj!

Sabina.

Panie, jesteś w całem znaczeniu tego wyrazu szlachetny.

Atanazy.

Od czasu do czasu, pani dobrodziejko. A teraz ważmy się i trenujmy.

Sabina.

Trenujmy się.

Ewa.

Sabinko... co też ty wygadujesz?

Sabina.

Dla Pucia gotowa jestem do wszystkich poświęceń.

(*Wnoszą wagę. Sałacki i Uszer regulują gewichty*).

Sałacki.

Już Uszer szachruje! To nie można—musi być akuratnie...

Uszer.

No, no, wielki interes!.. Człowiek się może omylić, a waga nie jest zegar, żeby pokazywał akuratnie co do minuty.

Ewa.

Uszer z przyzwyczajenia trochę kręci.

Uszer.

Wielmożna pani też z przyzwyczajenia żartuje.

Atanazy.

No, Karolu, marsz na wagę! (*Karol wchodzi*). Śliczna waga—akurat 140 funtów.

Uszer.

I łutów dziewięć, może dziesięć.

Atanazy.

Zapisz sobie, a później waga co dwa dni... Panno Sabino dobrodziejko, prosimy na wagę.

Sabina.

Po co?

Atanazy.

Dla naszej ciekawości. Za dwieście dwadzieścia funtów ręczę.

Sabina (*n. s*).

Impertynent! (*Wybiega*).

Ewa.

A teraz z dobrym humorem i nadzieją w sercu chodźmy na obiad.

Atanazy.

Wielki czas.

Karol.

Wynieście wagę.

Uszer.

Proszę pana, czy mam sprowadziś tego holenderskiego cuganta?

Karol.

Nie potrzeba. Na obiad, na obiad! Stryjaszku, pewny jestem wygranej. Górą nasza!

Wszyscy.

Dobra nasza! i górą nasza!

AKT II.

Scena przedstawia dziedziniec. Z lewej strony drzwi od stajni i płot, w głębi dwór. Przy drzwiach stajennych, ku środkowi sceny, kobylica drewniana z siodłem i tręzlami, przed drzwiami stajennemi snopek słomy (lub klocek).

SCENA I.

Jacek (*sam. Wbiega na scenę zadyszany, okryty derą, którą natychmiast zrzuca z siebie ze złością*).

A niech ich marności z taką robotą, z takim „tryningiem!“ Krześcijańska gęba nie może wymówić takiego cudacnego przezwiska... tryning. Bodaj z piekła nie wyjrzał, kto go wymyślił! Panu się uwidziało, że wielki wyścig wygra, kupę pieniędzy weźmie i że tak będzie co roku brał, jak parobek pensyę... Powiada: „Jacek, będziemy się w dobre konie zapomagali, w same jangielskie Jangliki; a ty będziesz onych koni pilnował, jako żeś chłop żwawy i lubiący.“ Tak mi podchlebiał. „Tylko — powiada — musisz też z jangielska wyglądać. Tak — powiada—i Jackiem tobie zwać się nie pasuje, jeno Dżonem;“ a ja powiadam: „Skoro na chrzcie świętym obrali mnie za Jacka, tedy już będę Jackiem aż do samej śmierci.“ A on powiada (niby dziedzic), jako że mi nikt Jacka nie zaprzecza, i że nie tylko za żywota, ale i po śmierci Jackiem będę, jeno, że tylko przy koniach muszę się zwać Dżonem... różności obie-

cywał... Złakomiłem się, przystałem. Niechta: jak zwał, tak zwał, byle jeno co dał... I niby jestem nie Jacek, jeno Dżon, niby ostaję się w tryningu (*siada na kobylicę*) i na tej pokrace drewnianej muszę się kiwać, żebym miał jangielski sztych na koniu, żebym się tak pompował z kolana po jangielsku. A juści—raz, dwa! raz, dwa! Tfy... do licha! Nie chciałbym, ale wszystko dla Kaśki robię. Człek dla baby każdego głupstwa się chyci... Albo i dziedzic... tłucze się teraz bez cały dzień na onym „Wielkim Szlomie," bo musi mu tak panna przykazała... oba jezdeśmy w tryningu, żebyśmy były lekkie, żeby nas konie mogły dźwigać. A ja powiadam: „Lepiej temu „Wielkiemu Szlomowi" dać owsa, ile zechce, żeby miał moc, aniżeli ludzi głodem morzyć według lekkości." A dziedzic powiada: „Głupi jesteś, gadasz po chłopsku, a nie po jangielsku." A juści, toć niejestem, chwalić Boga, Miemiec, ani Frajcuz, jeno chłop sprawiedliwy, po imieniu Jacek, a przezwisku Pieróg.

(*Za sceną słychać śpiew*):

Chodziłam se wedle rzéczki—
Oj ta dana, dana, dana!
Pogubiłam koraliczki—
Oj ta dana, dana dana!
Żebyś mi je, Jacuś, znalazł—
Oj ta dana, dana, dana!
Dałabym ci gęby zaraz—
Oj ta dana, dana, dana!

Jacek.

Aha, Kaśka idzie.. a pewnie co niesie. Oj, dobra dziewucha, bo dobra!... w świecie takiej drugiej poszukać—jaka dobra! Zmarniałbym przy tym zatraconym tryningu, żeby nie ona. Na taki skwar każą w wełnianych kocach ganiać, żeby wagę tracić, każą się na onej pokrace drewnianej kiwać, a jedzenia dają z pańskiego stołu, akurat tyle, co dla ptaka. Jakiści bistyk—dobre jadło, ale jeno do zabawki, nie dla pożywienia... Oj, żeby nie Kasia, nie żyłbym już chyba na takim pańskim wikcie.

Katarzyna (*za płotem*).

Jacek! Jacek! adyć słuchaj! Ogłuchł chłopisko, czy co?... Jacek!

Jacek (*n. s*).

A juści, ona myśli, że ja nie słyszę. Słyszę ci ja dobrze, jeno tak lubię przekomarzać się z dziewuchą.

(*Udaje zajętego ćwiczeniem*).

SCENA II.

Jacek—Katarzyna.

Katarzyna (*staje przy płocie z drugiej strony*).

Słyszysz, ty zatracony!... Cóżeś tak shardział?... Dla Boga! adyć się przebrał za niebo-skie stworzenie!... wygląda nie jak człowiek, ale jak nietoperz... Jacuś!

Jacek (*zeskakuje z kobylicy i upada*).

Et, niechże cię!... bez ciebie o mało zębów sobie nie powybijałem.

Katarzyna.

Jacuś!

Jacek.

Ale—Jacuś! Trzeba ci wiedzieć, że tera ja nie Jacuś, jeno Dżon... Takie przykazanie, i dość.

Katarzyna.

Cudaki ty różne wyrabiasz i sam nie wiesz, co pleciesz. Jackiem zawdy byłeś i Jackiem ostaniesz. Nie wydziwaj-no, tylko chodź... przyniosłam ci oto kromeczkę chleba i jeszcze innego pożywienia. Chodźże i bierz.

Jacek.

Oj, Kasiu, Kasiu! dobra z ciebie dziewucha... Daj gęby!

Katarzyna.

A juści... bez płot! Jeszczeby kto obaczył i dopiero byłoby gadania. Oto lepiej naści i jedz, zanim kto ode dwora nie nadejdzie. (*Podaje mu koszyk przez płot*).

Jacek (*biorąc koszyk*).

Tęgo wyładowany! Pójdź-że i sama, bo bez ciebie ani kawałeczka do gęby nie włożę. No, chodź, Kasiu!... o, tu zaraz przełazek jest—chodź, pomogę ci.

Katarzyna (*przechodzi przy pomocy Jacka, który ją całuje*).

Oj, Jacuś, Jacuś!... jakżeś się ty zmizerował!... jeszcze jaki tydzień, a jeno skóra i gnaty z ciebie zostaną... jedz-że, jedz!

Jacek.

Nie wolno.

Katarzyna.

A juści—będziesz słuchał, czy wolno, czy nie wolno, — a pewnie głodny jesteś jak wilczysko.

Jacek.

Oj, głodny, głodny, Kasiuniu! i nie tylko to jadło, które mi przyniosłaś, ale i ciebie samąbym zjadł — choćbym się może szmatami udławił.

Katarzyna.

Widzisz go! mnieby zjadł, a jeno! No, nie marudź—pożywiaj się, póki kto nie nadejdzie. (*Siadają oboje na snopku słomy, leżącym przed stajnią, i jedzą*).

Jacek.

Ty na mnie zawsze wydziwiasz, a ja wszystko dla ciebie znoszę—wedle ożenku,—nazywam się po cudacku, ubieram się po cudacku, tłukę się to na koniach, to na tem oto drewnie, ganiam w kocu, póki jeno tchu starczy... głodzę się oto,—bo dziedzic obiecał, że jak się będę dobrze sprawował, to mi da one kilka zagonków pod lasem.

Katarzyna.

A mnie panna Sabina obiecała krówsko.

Jacek.

A widzisz, Kasiu—źle ci to będzie? Zagonki swoje, krówsko swoje, chłop swój, cały lewentarz swój—na co jeno spojrzysz, to twoje. Będziesz sobie gospodynią... panią będziesz, Kasiu—będziesz nie byle jaką babą, jeno Jackową.

Katarzyna (*figlarnie*).

Et, co mi tam po takim zachudzonym chłopie!

Jacek.

Ot gadasz, a sama nie wiesz co. Chłop nie na zarżnięcie jest, jeno do roboty; aby zaś gnaty w nim zdrowe były, to tłustość bajki!... Ale ty się tylko tak przekomarzasz... a w duchu miarkujesz i rozumiesz, że babie bez chłopa nijako żyć. Jedna wdowa powiadała, że choćby tylko aby czapka w chałupie wisiała na kołku, to zaraz inszy ruch w całem gospodarstwie...

Katarzyna.

Jak ci się zdaje, Jacuś? wygra nasz dziedzic, czy nie wygra?

Jacek.

Mnie się widzi, że wygra. Bez co o to zapytujesz?

Katarzyna.

A bo, widzisz, Jacusiu, słyszałam, jak dziedzicowe ciotki rozmawiały ze sobą: że jeśli wygra, to się ożeni i będzie bogaty; a jeśli nie wygra...

Jacek.

No to co?

Katarzyna.

To będzie źle... Niby jako dziedzic opisany jest żydom, a żydy zawzięte, że niby mogą dziedzica z Kozich-dołków wyprawować; a jak go wyprawują, to pójdzie sobie chudziaczek we świat, razem z ciotkami... I niechby sobie szedł, skoro innego sposobu niema, ale nasze zagonki przepadną.

Jacek (*gwałtownie*).

Nie przepadną! wygra... moja w tem głowa! Choćbym miał pieprzu szkapie dać, to dam, a zagonki nasze...

Katarzyna.

Panna Sabina powiadała, że cała nadzieja w onym koniu, co go dziedzicowi stryjaszek podarował, jako że ma być jakiś osobliwy... pół jangielski! Ja nie rozumiem, mój Jacusiu, jakto pół jangielski?

Jacek.

To nie na kobiecką głowę takie rozumienie.

Katarzyna.

Kobiecka głowa ma swój rozum.

Jacek.

A juści ma—ale do czego inszego, nie do koni; a kiej chcesz wiedzieć, to ci powiem. Jak koń cały jangielski, to het wszystko ma jan-

gielskie; a zaś jeżeli pół jangielski, to jeno połowę: albo ode łba będzie Janglik, a zresztą koń... albo ode łba koń, a zresztą Janglik.

Katarzyna.

A ten od stryja jaki jest?

Jacek.

Ano... pół musi ode łba, ale chodzi dobrze; a że dziedzic w tryningu i nie ciężki, to może wygra. Oj, wygra, Kasiuniu, wygra, bo ja będę za nim jechał; jakbym widział, że ostaje, to będę podcinał batem. Nie pożałuję ręki.

Katarzyna.

I nie żałuj, Jacusiu... nie żałuj!... — toć to nasze zagonki.

Jacuś.

A juści! (*Z przestrachem*): Oj, ktoś idzie!

Katarzyna.

Trzeba schować jadło... Daliby ci!

Jacek.

Uciekaj, Kasiu, a ja skiknę na tego cudaka.

SCENA III.

Ciż—Uszer.

Uszer.

Nie bój się, Jacek, nie bój! to ja... Panna Kaśka też nie potrzebuje sobie bać — to ja... Dobry przyjaciel nie zdradzi... Bądźcie spokojni—tu nikt nie przyjdzie ze dworu. Dziedzic wróci za godzinę. Jedna ciotka robi z szydełkiem i trochę się kłóci z drugą; i druga ciotka robi z drutem i kłóci się trochę z pierwszą ciotką. One nie prędko skończą swoje zatrudnienie. Pan stryjaszek pewno dziś nadjedzie, ale jeszcze nie zaraz. Możemy sobie spokojnie porozmawiać.

Katarzyna.

A co Uszer ma z nami do rozmawiania? Uszera pomyślenie insze, a nasze insze.

Uszer.

Ma panna Kasia racyę, na moje sumienie. Żebym ja miał takie pomyślenie jak Kasia, to Jacek nie miałby swojego pomyślenia; a żebym ja miał takie pomyślenie jak Jacek (*z uśmiechem*), to coby panna Kasia powiedziała?

Katarzyna.

Ale!... nie dla psa kiełbasa... tobym powiedziała.

Uszer (*spluwa*).

Pfe! Zaraz pies, zaraz kiełbasa... pfe! Taka ładna dziewczyna, a takie brzydkie słowa...

Katarzyna.

A to po co Uszer zaczyna.

Uszer.

Ja tylko dla przykładu... Kasia wie dobrze, że to nie jest pachciarski interes. Ja przy-

szedłem z życzliwości. Ja wiem, że Jacek głodny jest, że Kasia o tem myśli, żeby głodny nie był.

Katarzyna.

A myślę; ale niech-no mnie Uszer zdradzi, to Uszerowi brodębym oskubała.

Uszer.

Uszer zdradzi? Uszer! co Kasia mówi! Czy Uszer podobny do zdrajcy? Fe, Uszer przyszedł powiedzieć, że Kasia jeszcze nie zrobiła względem Jacka wszystkiego, co potrzeba.

Katarzyna.

O! a cóż mam jeszcze robić?

Uszer.

Kasia dała Jackowi jeść—ale kto mu da pić?

Katarzyna.

Mało wody we studni?

Uszer.

Do angielskiego stangreta nie pasuje studnia, tylko butelka. Ja przyniosłem butelkę.

Katarzyna.

Nie ma on czem płacić za butelki.

Uszer.

Płacić? Ja nie żądam zapłaty... tak przyniosłem, z dobrej woli.

Jacek (*n. s.*).

Ciekawość—co taki chce ode mnie?

Uszer.

Pijcie na zdrowie; panna Kasia niech sobie trochę też napije—to bardzo dobra wódeczka jest.

Katarzyna.

Ja nie pijam.

Uszer.

Ja wiem, że panna nie pija z lada kim, ale z Jackiem panna wypije. Wy sobie przecie chcecie ożenić, a mąż i żona to jedno.

Katarzyna.

Tymczasem nie jedno, a wam do tego nic.

Uszer.

Jacek, ja ciebie bardzo żałuję!

Jacek.

A bez co?

Uszer.

Ostrą kobietę będziesz miał.

Jacek.

Uchodzi się.

Uszer.

Bardzo odważny człowiek jesteś; jabym się bał.

Katarzyna.

Niech się Uszer swojej Sury boi, a o Jacka nie frasuje. On nie bojący.

Uszer.

Cicho, cicho! siadajcie, sztyle!... proszę was, siadajcie... Uszer częstuje—pijcie na zdrowie i niech będzie zgoda. Ja wam dobrze życzę. A Jacek może myśli, że ja papierosów nie mam?... Ja mam. A dla kogo ja mam papierosy? Dla Jacka. A co ja chcę od Jacka za wódkę i za papierosy? Ja nic nie chcę. A dlaczego ja nic nie chcę? Bo jestem taki szczery...

Katarzyna.

E, niech Uszer nie łże, bo Uszer czegoś chce.

Uszer.

Fe, panno Kasiu... Kasia niepolityczną mowę ma.

Katarzyna.

Ale prawdę rzekłam.

Jacek.

I ja tak myślę.

Uszer.

No, no — kiedyście tacy domyślni, to ja chcę...

Jacek.

Aha!

Katarzyna.

Wyłazi szydło z worka.

Uszer.

Ja chcę, żebyście się napili— to jedno; ja chcę, żeby Jacek zapalił papierosa—to drugie;

i żebyśmy sobie trochę pogadali — to trzecie; a jeżeli ja chcę od was jeszcze czego czwartego, to niech moje wrogi nogi połamią...

Jacek.

Dyć, Kasiu, Uszer bardzo pięknie przemawia.

Katarzyna.

Zdrajce oni są i zawdy im dowierzać nie można.

Uszer.

Śliczne słowo Kasia powiedziała. Niema gorsze zdrajce na świecie, jak kobiety.

Katarzyna.

O! ja przecie mówię o żydach.

Uszer.

Fe!... żydy to najlepszy naród...

Jacek.

A jakże!... Niech-no Uszer gada, co ma gadać, bo jeszcze kogo licho przyniesie.

Uszer.

Dziedzic dostał w prezencie od swojego stryjaszka bardzo fajn angielskiego konia, co się nazywa podobno „Wielki Szelma.“

Jacek.

Nie „Wielki Szelma,“ jeno „Wielki Szloma.“

Uszer.

Fe! co Jacek takie paskudztwo mówi!... Wielki Szloma jest kupiec, a koń nazywa się Wielki Szelma.

Jacek.

Mówię wam, że Wielki Szloma.

Uszer.

To komedyą. Jak można konia tak nazywać!

Katarzyna.

Pewno tak jest, jak Jacuś mówi; on przecież tego konia obrządza, to najlepiej wie.

Uszer.

Niech go dyabli wezmą! Ja potrzebuję wiedzieć, ile ten Szelma jest wart.

Jacek.

Dużo.

Uszer.

Ale ile?

Jacek.

Najbiedniej ze trzysta rubli.

Uszer.

Trzysta rubli?

Katarzyna.

Dziwno wam?

Uszer.

Za co trzysta?

Jacek.

Bez to, że jangielski; a jak wyścignie inne konie, jak dziedzic dostanie parę tysięcy nagrody, to koń będzie wart trzy razy tyle.

Uszer.

To prawda jest?

Jacek.

Juści nie co... Już mi to dziedzic dokumentnie przetłómaczył, to ja wiem.

Uszer.

Trzysta rubli... trzysta rubli — to ładny prezent jest... śliczny podarunek!

Katarzyna.

Nie wolno to mu?

Uszer.

Dlaczego nie? Owszem, jabym się cieszył, żeby on dziedziczowi dziesięć takich koni podarował; a jeszczebym bardziej się cieszył, żeby mu kilka tysięcy dał.

Katarzyna.

A może da, jak mu ochota przyjdzie.

Uszer.

No, no... ochota jemu może przyjść, ale skądby do niego takie pieniądze przyszły?

Jacek.

Patrzcie-no, Uszer—jakieścić żydy tu jadą.

Katarzyna (*do Jacka*).

Pożyw się jeszcze, Jacusiu, jeno żywo; ja tu przyjdę do ciebie (*wychodzi*).

SCENA IV.

Uszer, Jacek, później **Plajterman, Berek, Lejbuś.**

Uszer.

Gdzie ty, Jacek, widzisz żydów?

Jacek.

Toć jadą na furze we trzech—o, tam... No, widzi Uszer?...

Uszer.

Prawda, to Plajterman, Lejbuś i Berek... bardzo porządni kupcy z miasteczka. Jacek! słuchaj-no Jacek!

Jacek.

A co?

Uszer.

Jak ty myślisz, Jacek? Czy ten Wielki Szelma doleci do nagrody?

Jacek.

Wielki Szloma.

Uszer.

Niech będzie jak chce. Ja się pytam, czy on ma dobre nogi i czy można się po nim spodziewać skutku.

Jacek.

Można.

Uszer.

Czy naprawdę tak się spodziewacie?

Jacek.

Pewny koń... chody ma takie okrutne, jak rzadko, siłę wielką,—a co on wytrzyma, to dziesięć innych nie wytrzyma.

(*Wchodzą: Plajterman, Lejbuś i Berek*).

Uszer.

Ny, ny...

Jacek.

Czego się tu żydy pchacie do stajni? Skoro interes jest, to do dworu iść, do dziedzica; konie z wami gadać nie będą.

Plajterman.

Żydy... żydy... Co ty tak gębę rozpuściłeś, chamie jakiś!... my jesteśmy kupcy. Ty w swojem życiu nie widziałeś tyle pieniędzy, co my w jedną godzinę przehandlujemy.

Jacek.

Wynoście się stąd zaraz!

Lejbuś.

Jaki pyszny!

Berek.

Widział kto takiego chama!

Jacek (*chwyta za szpicrutę, leżącą na ziemi*).

Dam ja ci tu chama, ty cyganie!

Uszer (*chwyta go za rękę*).

Jacku, tak nie można—to nie jest żaden interes... ty bądź spokojny. Od takich kupców można co zyskać.

Jacek.

A juści, zyska kto od nich?

Uszer.

Ja ciebie proszę, Jacek... idź do stajni.

Jacek.

Dla was tylko to robię; ale na drugi raz, jak mnie taki nazwie chamem...

Uszer.

To pójdziesz drugi raz do stajni. Co masz sobie żałować?

(*Jacek wychodzi*).

SCENA V.

Uszer, Plajterman, Berek, Lejbuś.

Plajterman.

Co będzie?

Berek.

Ja też chcę wiedzieć, co będzie.

Lejbuś.

Ja mogę nic nie wiedzieć... bylem tylko odebrał moje pieniądze.

Uszer.

Mądre słowo!

Plajterman.

Myśmy was szukali aż tutaj, Uszer—myśmy byli u was. Wasza żona powiedziała, że poszliście na folwark.

Uszer.

No, tak. Co chcecie?!

Berek.

Co my chcemy?

Lejbuś.

Co my możemy chcieć?!

Plajterman.

Wy się pytacie: co my możemy chcieć? a ja was pytam: jakim sposobem wy możecie nie wiedzieć, co my możemy chcieć?

Lejbuś.

To prawda.

Berek.

To dziwno jest. Wy się pytacie?

Uszer.

Alboż nie pytacie się?

Plajterman.

Nam trzeba usiąść—my jesteśmy zmęczeni.

Uszer.

Owszem, siadajcie—to was posili. Jest słoma, jest klocek — macie wszystkie wygodności.

(Siadają).

Plajterman.

To potrzebuje być krótkie gadanie—albo to, albo tamto, albo wcale nic.

Lejbuś.

Ja tak samo myślę.

Berek.

W trzech naszych głowach jedno pomyślenie jest.

Uszer.

No, no!

Plajterman..

Nie traćmy czasu... słuchajcie-no, Uszer.

Uszer.

Słucham.

Lejbuś.

Wy potrzebujecie słuchać!

Plajterman.

Cicho, cicho, sztyle!... ty, Lejbuś, nie pleć za dużo. Nam się wszystkim należy.

Uszer.

Myślicie, że mnie nie? Mnie też.

Lejbuś.

Oj, oj! komu się to dziś nie należy!

Plajterman.

Lejbuś, tobie się należy zamknąć gębę, bo nie dasz się rozmówić porządnie.

Lejbuś.

Zamknijcie waszą na zawsze! Czy ja nie mam wekslu na 200 rubli?... czy ja nie mam prawa gadać?...

Berek.

Sza... sza!... ja też mam.

Lejbuś.

Plajterman ma na 300, to zaraz chce być całym gospodarzem. My też jesteśmy wierzyciele. Co to? nasz grosz gorszy, niż jego? Jego gorszy. On już na tym purecu zarobił wielkie pieniądze, a my jeszcze niewiele. (*Do Berka*): Berek, ty nie siedź, jak malowana lalka— ty rób awanturę, ty krzycz! Co to jest? Plajterman chce wszystko zabrać, a nam nic nie dać. (*Zrywa się*). Ty jego łap za głowę, ty jego bij! Co on nad nami przewodzi? dlaczego słowa nie da przemówić?

Uszer (*chwyta się za głowę*).

Sztyle, sztyle!... aj waj mir!... Lejbuś, a myszygene pałke, czysty waryat i grubianin! Ty nie krzycz, czekaj... tymczasem jest już krowa, ale jeszcze nie zarznięta. Zatrzymaj się — dostaniesz swoją porcyę mięsa...

Lejbuś.

Ja nie chcę czekać, aż Plajterman wszystko zabierze. Ja mam żonę i dzieci, chwalić Boga — ja też potrzebuję żyć!

Uszer.

Cicho, cicho!... czekajcie! Po co wyście tu przyjechali? Lejbuś, ja proszę, ty sobie siądź— zrób to dla mnie. Nie dołożysz do tego interesu, na moje sumienie! (*Lejbuś siada*). Wy przyjechaliście dowiedzieć się o tym angielskim koniu.

Plajterman.

Nam wszystko jedno—czy on angielski, czy nie, ale on podobno dużo wart. Co wy o tem myślicie, Uszer?

Uszer.

On może być dużo wart i może być niewiele wart. To zależy.

Lejbuś.

Ja słyszałem...

Uszer.

Lejbuś, ty nic nie słyszałeś!

Lejbuś (*zrywa się*).

Dlaczego ja nie miałem słyszeć? Co to? nie wolno komu słyszeć?

Uszer.

Siądźcie-no trochę, powoli, zaraz będziecie mieli w głowie całą jasność. Koń wart jest dziś 300 rubli.

Lejbuś.

Tylko?—dlaczego nie 500?

Uszer.

Cicho, cicho! Nie waryuj, ty zapalona głowo... tylko słuchaj. Koń idzie na wyścig. On może wygrać parę tysięcy, to wartość jego samego podniesie się najmniej pięć razy. Czy Lejbuś rozumie ten interes?

Lejbuś.

Gdzie stoi napisane, że ten koń wygra?

Uszer.

Ładne słowo... ale gdzie stoi napisane, że ten koń przegra?

Plajterman.

To jest loterya.

Berek.

To loterya.

Lejbuś.

Ja od razu mówiłem, że to jest loterya!

Uszer.

I ja powiadam też, że loterya — ale co szkodzi ryzykować? Czy to my płacimy za bilet? Dziedzic płaci — niech on płaci. Jeżeli on wygra, to i my wygramy; jeżeli on przegra, to my także cokolwiek wygramy.

Lejbuś.

Jakim sposobem?

Plajterman.

Jakim sposobem! To się rozumie. Sprzedamy tego cuganta i będziemy mieli kilkaset rubli do podziału.

Berek.

Plajterman ślicznie powiedział.

Lejbuś.

Plajterman powiedział wielkie głupstwo!

Uszer.

Lejbuś, nie ucz ty Plajtermana rozumu. On nie dzisiejszy człowiek i dobrze wypraktykowany w interesach.

Lejbuś.

Ładne praktykowanie! Ten koń będzie leciał jak waryat—on się może potknąć, może złamać nogę, a wtenczas dostaniemy do podziału skórę. Śliczna hypoteka! Ja wolę mieć swoje zabezpieczenie na całym koniu, póki on jeszcze żywy i nie ma w sobie nic połamanego.

Plajterman.

Przytrafia się czasem, że ślepa kura znajdzie ziarnko—może być też zdarzenie, że i Lejbuś powie co rozumnego.

Lejbuś.

Co? dlaczego nie?... Plajterman nie ma chazuki na mądrość.

Plajterman.

Nie mam; ale muszę powiedzieć, że w lejbusiowej mądrości jest feler. Naprawdę jest duży feler.

Lejbuś.

Jaki ma być feler?

Plajterman.

Co ja mam gadać... niech Uszer ci powie.

Uszer.

Jest feler—a jaki feler, zaraz wytłómaczę. Każdy kupiec musi trochę ryzykować. Rozumiecie? W tym interesie my możemy dużo wygrać, a przegrać nie przegramy. Dajmy na to nawet, że ten angielski koń, ten Wielki Szelma, nogę złamie. Co dla nas stąd za zmiana?—wszystko będzie jak dawniej.

Berek.

Uszer ma racyę. Kupiec, który nie ryzykuje, powinien zostać szewcem albo krawcem.

Lejbuś.

Ja też jestem ryzykant. Co będzie, to będzie — ryzykuję!

Uszer.

Czekać do wygranej?

Lejbuś.

Czekać!

Plajterman.

Czekać!

Berek.

I ja mówię: czekać!

Plajterman.

Skoro tak, ja myślę, że my nie mamy tu już nic do roboty — możemy jechać do domu.

Lejbuś.

Owszem, mamy bardzo dużo do roboty!

Berek.

Czego Lejbuś jeszcze chce? Jakie nowe bałamuctwo Lejbuś wymyślił? Słuchajcie, Lejbuś, jeżeli wy się nie oduczycie paskudnej kłótliwości, to was nikt do spółki nie przypuści i będziecie musieli wszystkie interesa prowadzić na własną rękę—a wiadomo, że to nie jest wielki smak!

Lejbuś.

Ja lubię porządek, lubię rachunek. Kto w rachunku żyje, w bogactwie umiera, a obliczenie tyle znaczy, co połowa zapłaty. Przez to ja chcę wiedzieć...

Uszer.

Co wy chcecie wiedzieć?

Lejbuś.

Po pierwszego: ja chcę wiedzieć, ile kto z nas dostanie, jeżeli purec wygra? po drugiego: potrzebuję mieć wiadomość, ile dostaniemy, jeżeli on nie wygra?

Berek.

Co ci tak pilno?... Mamy czas!

Lejbuś.

Ja chcę wiedzieć. Ja muszę to wiedzieć! A jeżeli nie, to zacznę na własną rękę i zrobię wam ładny figiel!

Plajterman.

No, no! śliczny wspólnik... Obliczmy tego gałgana, bo naprawdę może nam wszystko popsuć.

Berek.

Obliczmy.

Uszer.

Ja myślę tak: Jeżeli sprzedamy konia, to Plajterman dostanie z tego 50 procent, Berek 24, Lejbuś 16, a ja 10.

Lejbuś.

Dlaczego ja tylko szesnaście?

Berek.

Dlaczego Plajterman pięćdziesiąt?

Plajterman.

Za co Uszer ma brać dziesięć?

Uszer.

Na całym świecie pachciarz ma przywilej... to jest...

Lejbuś.

To jest łajdactwo taki podział!

Plajterman.

Ty sam jesteś łajdak! A lump, a ganew! a gazłen, a subernik!

Lejbuś.

A mise miszune zolst dy haben... dy... dy... łapserdak! żeby tobie ogień w serce wszedł!

Uszer.

Żebyś ty w ziemię wrósł, łajdaku! dy a szwarc jur! (*Zaczynają się bić*).

SCENA VI.

Ciż—Atanazy.

Atanazy (*wchodzi głębią podczas bójki*).

Co to znowuż za awantura, od czasu do czasu! Co wy tu wyrabiacie?

(*Żydzi odskakują jedni od drugich*).

Plajterman.

My przyjechali powinszować młodemu panu dziedzicowi...

Atanazy.

Czego, u licha?

Lejbuś.

Że pan dziedzic dostał od pana dobrodzieja taki ładny podarunek. Taki koń, taki angielski koń...

Uszer.

Taki „Wielki Szelma.“

Atanazy.

„Wielki Szlem“ się nazywa, po Bezatu jest, od czasu do czasu... Ale, jeśli myślicie, że uda się wam złapać go... to jesteście w grubym błędzie. Wielki Szlem jest, od czasu do czasu, mój, a że go synowcowi pożyczyłem — taka była moja wola.

Plajterman.

O co nas pan dobrodziej posądza? My właśnie przyjechali powinszować — życzyć,

żeby młody pan wygrał na tym koniu wielkie pieniądze.

Atanazy.

Bardzo pięknie... ale dlaczego biliście się tak zawzięcie, od czasu do czasu?

Lejbuś.

My się bili?... Żeby nasze wrogi tak się codzień bili.

Plajterman.

Pan dobrodziej się myli—to nie była wcale bitwa.

Atanazy.

Cóż więc było?

Lejbuś.

Myśmy robili trochę obrachunku.

Atanazy.

A to piękna arytmetyka, od czasu do czasu!

Uszer.

Proszę pana dobrodzieja, pan dobrodziej tego nie rozumie — to handlowy interes, handlowy rachunek. Pan mówi o bitwie—tymczasem my jesteśmy w najlepszej zgodzie.

Berek.

Oj, oj! my zawsze w zgodzie.

Plajterman.

My życzymy: niech młody pan wygra, niech dostanie nagrodę, niech dostanie złoty medal.

Lejbuś.

Ja jestem pierwszy kupiec na tego złotego mentala.

Atanazy.

Takie rzeczy się, od czasu do czasu, nie sprzedają.

Lejbuś.

Ja wiem... Te lombardów dużo psuje interes.

Plajterman.

Lejbuś, sztyle, sza! Nie potrzebujesz powiedzieć głupstwo!

Uszer.

On nie ma politycznej mowy. On pasuje do elegancyi jak groch do ściany.

Atanazy.

Więc życzycie nam wygranej?

Plajterman.

Na moje sumienie, tak. My sami, żebyśmy tylko mogli, to byśmy wygrali za pana... ale my nie do tego. Najwięcej jeździmy na biedce, to też duże utrzęsienie jest. Mnie się zdaje, że będzie wygrana.

Atanazy.

Ano, od czasu do czasu, jak dwa razy dwa—cztery. Może który z was zechce zakład trzymać?

Plajterman.

Oj, oj! żebym ja tak szczęście trzymał, jak ja nie lubię zakładów trzymać.

Berek.

Bez zakładu też wiadomo, że będzie wygrana; skoro pan dobrodziej powiada, to dość. Pan dobrodziej jest gruby znawca na takie interesa.

Atanazy.

Od czasu do czasu, tak. Tylko spojrzę na konia, to już wiem, co on wart. Dziękuję wam za dobre życzenia; a co do Wielkiego Szlema, nie fatygujcie się lepiej. Powtarzam wam, że koń mój.

Berek.

Uszer może zaręczyć, że nie mamy żaden paskudny zamiar. My jesteśmy honorowe ludzie i życzliwe.

Atanazy.

Od czasu do czasu to wam przytrafia się... coś takiego, że nie á propos. Więc uprzedzam, że na ten raz nie róbcie sobie smaku.

Uszer.

Ja za nich ręczę, proszę pana dobrodzieja. To są wspaniałe ludzie i honorowe obywatele. Lejbuś ma szynk, Berek ma szynk, a Plajterman ma... dwa szynki. Jak oni powiadają, że niema figla, to niema. Ich słowo to jest murowane słowo.

Lejbuś.

Na czyste wapno!

Plajterman.

Na cement! Nawet, żeby inne łajdaki chcieli zrobić figiel, to nasza w tem głowa, że nie zrobią. Nie uda im się—i pierwej własne ucho zobaczą, aniżeli ten figiel. My życzymy wygranej. My życzymy panu dostać wielkie pieniądze, złoty mental i... co tam jeszcze dają... podobno garnek dukatów.

Atanazy.

Od czasu do czasu, tego nie dają. Nie widzieliście Jacka?

Uszer.

On tu nie dawno był.

Atanazy (*woła*).

Jacek! Jacek!

SCENA VII.

Ciż—Jacek.

Jacek (*wybiega z drzwi stajennych*).

Słucham wielmożnego pana.

Atanazy.

Gdzież ty, gałganie, siedzisz? Zamiast się trenować, to śpisz, od czasu do czasu, na sianie.

Jacek.

Ale... śpię!... Dyć przesiewałem owies dla Wielkiego Szlomy, bo tylko patrzeć, kiedy dziedzic powróci z tryningu.

Atanazy.

Mówiłem ci, od czasu do czasu, raz, że koń nazywa się Wielki Szlem.

Jacek.

Dyć mówię, że Wielgi Szloma.

Atanazy.

Szlem! Szlem! Wielki Szlem. Czy ty, barania głowo, masz pojęcie, co to jest wielki szlem?

Plajterman (*n. s.*).

Wi hajst... a grojser Szlem? Wues betajcz a grojser Szlem?

Uszer (*n. s. do Plajtermana*).

A grojser Szleper. (*Głośno*): Nasze deputacye potrzebuje odejść... My bardzo wielmożnego pana kłaniamy, my bardzo życzymy.

Plajterman.

Bardzo życzymy!

Lejbuś.

My życzymy — niech pan dziedzic wygra.

Berek.

A o figiel niech się pan dobrodziej nie lęka. Pan dobrodziej już jest u nas zaasekurowany, jak w najlepszej fajerkasie. (*Kłaniają się i wychodzą*).

SCENA VIII.

Atanazy—Jacek.

Atanazy.

Więc, od czasu do czasu, przesiewałeś owies dla Wielkiego Szlema?

Jacek.

A jeno...

Atanazy.

Strzeż go, jak oka w głowie... A trenujesz się?

Jacek.

Oj, oj!

Atanazy.

Na kobylicy wprawiasz?

Jacek.

Dyć.

Atanazy.

Masz angielski sztych, od czasu do czasu?

Jacek.

Mam... Siedzę na króciuchnych strzemionach, jak jangielski pies na jangielskim płocie; a jak się szkapa rozejdzie w kłusie, to się kiwam, jak żyd nad wodą.

Atanazy.

A dyetę zachowujesz?

Jacek.

Niby podług jadła?

Atanazy.

Ano, od czasu do czasu, tak.

Jacek.

Wielmożny panie... to najciężej. Jeno patrzeć, kiedy mi żywot do krzyża przyschnie, że będę jak tarcica. Jużbym ja stąd uciekł za siódmą wodę, jeno że mnie zatrzymuje przywiązałość do dziedzica, jako że mi obiecał dać zucheleczek gruntu.

Atanazy.

Pewnie ci tu jakie dziewki jedzenie przynoszą? Przyznaj się, od czasu do czasu.

Jacek.

Pewnie, że donosiłyby i nie jednaby się znalazła.

Atanazy.

A ty nic?

Jacek.

Ale gdzie zaś! Choć mnie ckni, a ja nic; i choćby najlepsze rzeczy, choćby samą słoninę, choćby kiełbasę, choćby, na to mówiąc, jajecznicę, choćby kurę—ja nic. Oczy zatykam, gębę zatykam, nos zatykam, żeby zapachu nie czuć, żeby mnie nie skusiło.

Atanazy.

Ho! ho! takiś twardy.

Jacek.

Jak krzemień, wielmożny panie; jak ta skała, co z niej na szosę kamienie kruszą; jak Uszer, kiedy go prosić, żeby parę groszy pożyczył.

Atanazy.

A to, od czasu do czasu, dobrze.

Jacek.

Oj, nie bardzo! On biśtyk smakowity, ale lekki... i żeby jeno po wyścigu... to zaraz miskę grochu zjem i kartofli ze trzy garnce.

SCENA IX.

Ciż—Ewa—Sabina.

(Ewa i Sabina wchodzą z głębi).

Sabina.

Dzień dobry panu.

Atanazy.

Dzień dobry, od czasu do czasu... dzień dobry kochanym paniom. Przyjechałem oto, i nie przywitawszy się nawet z paniami, pośpieszyłem wprost do stajni.

Sabina.

O, tak... taka ważna chwila w życiu naszego Pucia... Nie dziw, że cała uwaga koncentruje się na stajni... Ach! Boże! tu się ważą jego losy.

Ewa (*do Jacka*).

Pan Karol jeszcze nie wrócił?

Jacek.

Nie, wielmożna pani — ale tylko go patrzeć. Ja wybiegnę na wzgórek, obaczę, może już wraca. (*Wychodzi*).

Sabina.

Wie pan, panie Atanazy, we mnie otucha wstępuje.

Atanazy.

A to, od czasu do czasu, dobrze... bez otuchy głupio jest na świecie.

Ewa.

Święta prawda.

Sabina.

O, tak!... zwłaszcza dla duchów wykolejonych, dla tych, które utraciły już wszystko... wszystko, prócz honoru.

Atanazy.

A! panno Sabino, dajże pani, od czasu do czasu, pokój. Jakie wykolejone? Cóż to? czy duch, jak wagon, po relsach się toczy? A jeżeli pani chodzi o Karola, czyli, jak go pani jakimś barbarzyńskim językiem nazywasz—Pucia, to się pani, od czasu do czasu, nie bój. Ten się z pewnością ze strzemion nie wykolei. Siedzi on w siodle pewniej, niż pani, od czasu do czasu, na krześle; a że Wielki Szlem się nie potknie, za to ja zaręczam. Aby tylko trening dobrze poszedł, to nagroda pewna, jak dwa a dwa, od czasu do czasu, jest cztery.

Ewa.

Istotnie? jest pan pewny tego?

Atanazy.

Oczywiście. Już ja na koniach, od czasu do czasu, zęby zjadłem, i znam się na tem lepiej, niż panna Sabina na wzdychaniu i na spazmach.

Sabina.

Nie odpowiadam panu na te żarciki, gdyż myśl moja w tej chwili zajęta jest bardzo a bardzo ważną sprawą.

Ewa.

No, no — cóż takiego, siostro?

Sabina.

W jakich barwach nasz Pucio wystąpi do turnieju?

Ewa.

Czy to koniecznie w barwach?

Atanazy.

Ano, trzeba mu, od czasu do czasu, uszyć jaką szarfę. U panny Sabiny — o ile mi wiadomo — fatałachów nie brak, z dawniejszych czasów zwłaszcza, jest tego zapewne pełna skrzynia.

Sabina (*z oburzeniem*).

Z dawniejszych czasów! proszę! może jeszcze z przed potopu! Ale mniejsza już o to. Nie będę rozprawiała z panem Atanazym... zaszlibyśmy może za daleko... Przedewszystkiem nasz drogi Pucio... jakie kolory ma nosić?

Ewa.

Sądzę, kochaneczko, że to wszystko jedno. Trzeba wybrać jaki wyraźny kolor... Ponsowy na przykład.

Sabina.

A! nie, nie... przecież idzie też i o symbol.

Atanazy.

Jeżeli tak... to możnaby mu dać, od czasu do czasu, kolor tabaczkowy.

Sabina (*n. s.*).

Straszny człowiek! (*Głośno*): Niewybredny bo gust ma pan Atanazy. Ewciu, ja myślę, że najlepiej będzie dać naszemu Puciowi szarfę trójbarwną, która powiedziałaby wszystko.

Atanazy.

To jest, od czasu do czasu, co?

Sabina.

Kolor różowy powie, że Pucio kocha Andzię...

Atanazy.

No, no...

Sabina.

Blado-niebieski da poznać, że kocha ją stale i że jest smutny.

Atanazy.

Żebym ja mógł być tak wesoły, od czasu do czasu, jak on!

Sabina.

Nie uważam na te docinki i kończę. Kolor zaś zielony wyrażać będzie nadzieję. Andzia zrozumie, że ta nadzieja polega na osobistej sile i zręczności, oraz na przymiotach Wielkiego Szlema. Pan Atanazy zechce zrozumieć, że ja złem za złe nie płacę.

Atanazy.

Od czasu do czasu... jesteś pani ideałem dobroci i wyglądasz niby posąg anioła, wykuty w bryle smażonej lukrecyi.

Sabina (*n. s.*).

Niegodziwiec!

SCENA X.

Ciż—Karol.

(*Karol wchodzi z za stajni, z lewej strony*).

Sabina.

Ach, Pucio!

Atanazy.

Jesteś?! Jakże Szlem? jakże nasz Wielki Szlem?

Karol.

Pysznie! 40 wiorst... bez zmęczenia, prawie ciągle kłusem... tylko trzy razy zrobiłem po trzysta kroków stępa. Ani razu się nie potknął — przyszedł suchy. Stryjaszku, to jest koń wielki!

Atanazy.

Od czasu do czasu... rasa, krew — to ma swoją wagę i znaczenie.

Sabina.

Spodziewasz się wygranej?

Karol.

Niech za mnie odpowie zegarek Wiorsta trwa 3 minuty 45 sekund.

Atanazy.

Ehe... od czasu do czasu, haftujesz.

Karol.

Jak stryjaszkowi dobrze życzę.

Atanazy.

Nie całe cztery minuty?! No, no, przyznaj się...

Karol.

Może i cztery... w takim szybkim kłusie zegarek się trzęsie.

Atanazy.

Niechby nawet, od czasu do czasu, cztery i pół... to jest trzynaście i pół wiorsty na godzinę. Już tylko tak jedź, od czasu do czasu, a nagroda pewna. Ho! ho! znam ja mojego Wielkiego Szlema. Dzielny to koń... po Bezatu—w Europie takiego drugiego nie znajdziesz!

SCENA XI.

Ciż—Katarzyna.

Katarzyna (*wchodzi z głębi*).

Proszę państwa, obiad na stole.

Atanazy.

A to ślicznie, od czasu do czasu! Głodny jestem jak wilk. A ma tam panna Sabina jeszcze ową starkę, co? Delicya to, doprawdy, od czasu do czasu.

Sabina.

Jest jeszcze; ale zdaje się, że tylko jedna flaszka.

Ewa.

Jest więcej.

Atanazy.

To się, od czasu do czasu, przyda.

Ewa.

Chodźcie państwo.

Karol.

Idźcie. Ja jeszcze mam parę słów do pomówienia z Jackiem.

Katarzyna (*n. s.*).

Ola Boga!... a co on znowu chce od Jacka?... Obaczę ja, zostanę. (*Wszyscy wychodzą. Na scenie zostaje Karol i Katarzyna, która stara się ukryć za węgłem stajni*).

Karol.

Jacek! jesteś tam?

Jacek.

Jestem, wielmożny panie.

SCENA XII.

Jacek, Karol — później **Katarzyna**.

Jacek (*wchodząc*).

Słucham, wielmożny panie.

Karol.

Ładnych rzeczy dowiaduję się o tobie.

Jacek.

Niby co?

Karol.

I ty jeszcze pytasz? Ty udajesz niewiniątko?

Jacek.

Nie wiem nic, nie wiem, wielmożny panie. To chyba jakie zdrajce nagadali.

Karol.

Tak? Będziesz ty widział zagonki pod lasem, będzie twoja Kaśka widziała krowę! Cóż to sobie myślisz, że ja nic nie wiem?

Jacek.

Wielmożny panie...

Karol.

Kto zjadł masę chleba? Kto zjadł kiszkę? Myślisz, że to się ukryje?

Jacek.

Wielmożny panie...

Karol.

Ruszaj do wagi! Jeżeli ci przybył jeden funt, to całoroczną pensyę potrącę. Ruszaj! (*Odchodzą*).

Katarzyna (*wychodząc na przód sceny*).

Za jeden funt całką pensyę mu potrąci! A dyć chłop samej kiszki dwa funty zjadł, a chleba omal że nie cały bochenek... Oj, jak ten jangielski... „Wielki Śledź“ nie wygra, to chyba my się utopim z Jacusiem. (*Wybucha płaczem*).

AKT III.

Scena przedstawia część dziedzińca i ogrodu z majątku Pawła—z lewej strony sztachety, w głębi altanka.

SCENA I.

Paweł — Atanazy.

Atanazy.

Już też mi sąsiad dobrodziej najazd dzisiejszy racz wybaczyć.

Paweł.

Ależ, panie Atanazy, jest też o czem mówić! Zawsze u mnie goście są mile mi widziani, a tem bardziej taki, jak pan. Znamy się przecie od tak dawna...

Atanazy.

Wiem ja, od czasu do czasu, o łaskawym dla mnie sentymencie kochanego sąsiada, ale nie ośmieliłbym się go najeżdżać o tak wczesnej godzinie, gdyby nie wyścig. Rozumie sąsiad, że, od czasu do czasu, rzecz ta interesuje mnie podwójnie: primo, że jedzie mój synowiec Karol, a secundo, że jedzie na moim Wielkim Szlemie, od Konwersyi po Bezatu. Dzielny to biegun i, od czasu do czasu, ma wszelkie szanse wygrania.

Paweł.

W rzeczy samej, tu jest doskonały punkt obserwacyjny — szosa przechodzi tuż koło ogrodu.

Atanazy.

Idealny punkt, od czasu do czasu; a chociaż nie dowiemy się zaraz o rezultacie ostatecznym, ale w każdym razie zobaczymy, jak któremu się wiedzie... Kto się wysforował na przód, kto oszczędza konia... no i kto, od czasu do czasu, spadł.

Paweł.

Zawsze można będzie stawiać horoskopy, przewidywać.

Atanazy.

A, bez wątpienia. Ja przynajmniej mam takie oko, że rezultat wyścigu od pierwszego wejrzenia przewiduję. Spojrzę tylko na konia i, od czasu do czasu, wiem, co mam o nim trzymać. W Warszawie, na przykład, zabawiałem się trochę w totalizatora.

Paweł.

I wygrał sąsiad?

Atanazy.

Sporo, od czasu do czasu... przegrałem, ale bierz go licho!—dziś nie to mi w głowie. Karol jedzie, „Wielki Szlem“ idzie—pojmuje więc kochany sąsiad, że jestem, od czasu do czasu, zemocyonowany. No, nie tylko ja. Ciotki Karola, panna Ewa i panna Sabina, przyjadą lada chwila; one także dom państwa obrały za punkt obserwacyjny i postanowiły skorzystać z uprzejmości zacnego i kochanego gospodarza. Od czasu do czasu... jest to formalny najazd.

Paweł.

Panna Sabina i panna Ewa są tu już od godziny.

Atanazy.

Od godziny? Niepodobna!

Paweł.

Przyjechały punktualnie o godzinie szóstej.

Atanazy.

No, proszę! Ja powiadam, że ani wróbel, ani skowronek, ani pliszka nie zerwie się tak rano, jak kobieca ciekawość. Przyjechały o szóstej — to znaczy, że wyjechały z domu o czwartej... to znaczy, że zaczęły się fiokować o drugiej... to znaczy, że naradzały się nad tem od dwunastej... to znaczy, że prowadziły sprzeczkę przynajmniej od dziesiątej — to znaczy, że, od czasu do czasu, nie kładły się spać wcale. Widzi sąsiad, co może ciekawość!

Paweł.

Jakże pan chcesz?... idzie im o pana Karola—pragnęłyby, żeby zdobył nagrodę.

Atanazy.

Nie znają one Wielkiego Szlema. Jest to koń, mający, od czasu do czasu, nadzwyczajne cnoty. Jak się rozejdzie, to idzie bestya, że niech się pociąg schowa. Szczególniej w kłusie jest nieporównany. Uważam jednak, że sąsiad kochany nie zachwyca się, od czasu do czasu, sportem i wyścigami...

Paweł.

Byle w miarę—i owszem. Wyrabia to muskuły, daje zdrowie. Lecz jeżeli kto dla sportu zaniedbuje...

Atanazy.

Ależ nie, nie!... Przecież wyścig nie co tydzień, a trening nie codzień. Trudno żądać, żeby młodzieniec był, od czasu do czasu, babą i siedział za piecem... We krwi, panie dobrodzieju, jest, żeby, od czasu do czasu, przetrząść się, żeby, panie dobrodzieju, iść z wichrem w zawody. Ja za młodu, gdym zobaczył płot, to, od czasu do czasu, musiałem przez niego przeskoczyć... Pamiętam, że miałem konia—Rinaldo się nazywał, Rinaldo Rinaldini... ścigły taki, że można było na nim zająca dogonić. Kosztował ten Rinaldo, na owe czasy, z górą pięćset rubli. Na owe czasy, powtarzam, gdyż dziś, żebym go miał, tobym o tysiącach śpiewał. Otóż ten Rinaldo... to bardzo ciekawa historya... Ale co, u licha, robi tu Plajterman?

SCENA II.

Ciż—Plajterman.

(*Plajterman wchodzi*).

Atanazy.

Plajterman!

Plajterman.

Bardzo nizko kłaniam wielmożnym panom.

Paweł.

Cóż pana Plajtermana tu sprowadziło?

Plajterman.

Wielmożny panie, my jeszcze nigdy w życiu nie widzieliśmy taki interes, więc chcemy zobaczyć. Myśmy jeszcze nie słyszeli, że można na koniu zarobić bardzo prędkim sposobem ładne pieniądze, więc nas wzięła wielka ciekawość, jak się to robi? Całe nasze miasteczko jest poruszone. Wszyscy ciągną do szosy... Kto ma wasąg—pojechał na wasągu, kto biedkę—na biedce, kto nie ma biedki—poleciał piechotą... precz żydki stoją przy drodze... Nawet jak rabin ma przyjechać, to nie zbierze się tyle narodu, co dziś na ten dystans. My wyprzedziliśmy wszystkich i zajechali aż tutaj.

Paweł.

Jakto my?

Plajterman.

Nu, jakie my? My — kilka żydków, co zawsze trzymają z sobą kompanię. Panowie ich znają: jest Lejbuś, jest Berek... jest Uszer, z Kozich-dołków pachciarz, ja jestem.

Atanazy.

I ten szelma Uszer, od czasu do czasu?

Plajterman.

Co za dziwota? Czy pan dobrodziej nie rozumie, że kiedy dziedzic się ściga, to w pachciarzu dusza się trzęsie? Panowie nie chcecie poznać naszej delikatności i dobrego, miękkie-

go serca. Żaden człowiek na świecie nie jest tak szczęśliwy, jak panowie ze wsi szczęśliwi jesteście!

Paweł.

A to jakim sposobem?

Atanazy.

My szczęśliwi!... No, kochany Plajtermanie, to są, od czasu do czasu, żarty.

Plajterman.

Wcale nie żarty. Kto człowieka najwięcej i najlepiej kocha? Ojciec i matka. Każdy człowiek ma tylko jednego ojca i jedną matkę, a panowie ze wsi mają aż trzy wielkie kochania: ojca, matkę i pachciarza!

Paweł.

Proszę!

Atanazy.

Od czasu do czasu, niech dyabli porwą takie kochanie!

Plajterman (*z westchnieniem*).

Na każdym interesie trzeba się znać. Nie moja wina, że panowie nie jesteście znawcy na pachciarskie serca. Niema o czem gadać—my zawsze jesteśmy stratni. Uszer nie mógł wytrzymać, żeby nie zobaczyć wyścigu. Onby, broń Boże, przechorował. On wczoraj mówił do mnie: Plajterman, jedźmy, (bo on z nami z miasteczka jedzie); on mówił do Lejbusia: Lejbuś, jedźmy; on mówił do Berka: Berek, jedźmy; a myśmy wszyscy mówili do Uszera: Uszer, jedźmy — i myśmy pojechali. Niech wielmożny pan pozwoli nam tu być trochę—my mamy swoich żydków na szosie. Jak się tylko zacznie, oni dadzą znać.

Paweł.

A któż wam broni, skoro chcecie patrzeć...

Plajterman.

Kto nie chce patrzeć? Parobki, dziewki— wszystko śpieszy na szosę... a od pana Karola służąca też tu jest. Myśmy ją dogonili pod lasem.

Atanazy.

I ta, od czasu do czasu!

SCENA III.

Ciż—Ewa—Sabina—Anna (*wchodzą z prawej strony*).

Paweł.

W sam czas panie przychodzą (*spogląda na zegarek*). Według mego obliczenia, pierwsi jeźdzcy powinni się ukazać za chwilę. Stąd widać ich będzie doskonale. W tej chwili każę podać krzesła, przyniosę lunetę polową i lornetki teatralne.

Sabina.

Ach, jaki pan dobry!... Zachwycone jesteśmy jego uprzejmością. Ja umarłabym chyba

z niepokoju—a tak dowiem się czegoś przynajmniej.

(Paweł i Atanazy wychodzą, a po chwili wracają z krzesłami. Plajterman ciągnie ławkę na przód sceny).

Plajterman.

Niech ja też usłużę. Będą panie miały doskonałe siedzenie do siedzenia... Dlaczego to dawniej nie bywało nigdy taki wyścigowy dystans?

Sabina.

Bo to najświeższa zdobycz cywilizacyi.

Plajterman.

Ten cywilizacya to musi być zagraniczny interes?

Atanazy.

Od czasu do czasu, tak.

Paweł.

Bardzo proszę, niech panie siadają. Oto luneta i lornetki.

Sabina.

Ja proszę o lunetę. Andziu! ty, kochaneczko, pojęcia nie masz, jak jestem niespokojna, jak mi serce bije gwałtownie. Doprawdy, wierzę w to, że można w ciągu godziny przeżyć kilka lat.

Atanazy.

Niech-no kuzynka nie będzie taka rozrzutna, bo, od czasu do czasu, z latami można przeatutować...

Ewa.

Niech pan Atanazy uważa lepiej na drogę.

Atanazy.

Owszem, proszę o ten teleskop.

(Atanazy patrzy przez lunetę, Paweł przez lornetkę, Plajterman trzyma dłoń nad oczami).

Sabina *(do Anny n. s.)*.

Szczerze, duszko, kochaneczko, prawdę mi powiedz: czy ty go kochasz?

Anna.

Mówiłam pani, że dla pana Karola mam prawdziwą sympatyę i życzliwość... Wiem, że to człowiek z sercem, i zdaje mi się, że mogłabym go pokochać, ale... teraz zdecydować się jeszcze nie mogę.

Sabina.

Zabijasz człowieka, Andziu!... ach, posłuchaj: i ja niegdyś zabiłam jednego.

Anna *(z przerażeniem)*.

Jakto? Umarł!?

Sabina.

Nie, kochaneczko... ożenił się z wdową po dzierżawcy, ale był zabity, zabity... i zawsze mam go przed oczami, jak żyjący wyrzut sumienia... O, Andziu! niech cię niebo strzeże od takiego zdarzenia. Nie będziesz mogła ani spać, ani jeść, ani pić. Zeszczuplejesz, zmizerniejesz, staniesz się jako kwiatek podcięty kosą. Ach! kwiatek o tyle jest szczęśliwszy, że go

podcięła ręka kmiotka... a ja, ach! ja się sama podcięłam własną ręką... Andziu, Andziu! nie igraj z miłością, nie stań się przyczyną takiego samobójstwa.

SCENA IV.

Ciż—Uszer.

Uszer *(wbiega zadyszany).*

Uszer.

Oj, waj! Już! już!

Wszyscy.

Jedzie? jedzie?

Uszer.

Już, już!...

Plajterman *(do Uszera).*

Welcher?

Uszer.

Einer.

Atanazy.

Pierwszy jedzie! Zakład trzymam, że to od czasu do czasu Wielki Szlem. Co, u dyabła! nic nie widzę. Uszer, cóż znowu? Mówisz, że jedzie... Gdzie jedzie? kto jedzie?

Sabina *(patrząc przez lornetkę).*

Ja też nie widzę nic — ale to niezawodnie Wielki Szlem.

Uszer.

Na moje sumienie, ja widziałem.

Paweł.

Cóż Uszer widział nareszcie?

Uszer.

Wielki kurz.

Wszyscy *(rozczarowani).*

Kurz! Cóż tam kurz?

Uszer.

Jakto co? Kurz to jest kurz, a we środku w kurzu jest koń, a na koniu jest pan.

Sabina.

Jeździec... O Boże! czy też to on!

Paweł.

Naprawdę jeździec.

Atanazy.

Widzę Wielkiego Szlema. Ten sam, od czasu do czasu, ten sam. Sadzi, słowo daję, sadzi jak sarna! Niech go nie znam!

Ewa.

Naprawdę Karol?

Atanazy.

Od czasu do czasu, naturalnie! Dzielny chłopak!—Posłuchał rady stryja, bo ja mówiłem od czasu do czasu: Karolku, nie słuchaj żadnych teoryi. Ostrogi z miejsca, i, od czasu do czasu, jak wicher... zmęczysz konia szalenie, ale coś zyskał od razu, tego ci już sam dyabeł nieodbierze.

SCENA V.

Ciż—Lejbuś.

Lejbuś *(wbiega zdyszany).*

Proszę państwa, czy ten pan, co będzie drugi, dostanie jaką nagrodę?

Paweł.

Dostanie... albo co?

Lejbuś.

Ja się tak pytam, bo pan Karol pierwszej nagrody nie dostanie... Ona już ferfał!

Atanazy.

Co ty pleciesz?... więc to nie mój Wielki Szlem pierwszy?

Lejbuś.

Owszem, pański koń jest wielki szelma, i pierwszy szelma też jest, dlatego, że zostaje w tyle...

Sabina.

Jaką szarfę miał pierwszy jeździec?

Lejbuś.

Miał kawałek żółtej szmaty.

Ewa.

Żółtej?

Lejbuś.

Cytryna nie jest tak żółta, jak ta szmata.

Sabina.

Ach, nigdy nie mogłam cierpieć tego koloru zazdrości i nieszczęścia! (*Do Anny n. s.*): Andziu, ty mu wybaczysz przegraną.

Anna.

Już wybaczyłam.

Sabina.

O, szlachetna duszo!

(*Plajterman, Uszer i Lejbuś odchodzą na przód sceny*).

Lejbuś.

No, co? co? Wielkie kupcy, dzikie ryzykanty, co teraz macie?

Uszer.

Czekaj.

Lejbuś.

Pokażcie, co macie? no, co macie? Jaką spekulacyę? Jakie zyski?

Plajterman.

On może jeszcze wygrać—jeszcze do przejechania jest wielki kawał drogi.

Lejbuś.

Trzeba było od razu łapać konia.

Uszer.

Lejbuś, ty siedź cicho, ty nie bądź waryat!

Lejbuś.

A co będzie?

Plajterman.

Zgodziłeś się, trzymaj się zgody; nie rób dziesięciu układów w jednym interesie i siedź cicho. (*Rozmawiają cicho dalej*).

Anna (*patrząc przez lunetę*).

Widzę teraz dwóch panów—jadą tuż obok siebie... jeden koń jest biały, drugi gniady.

Atanazy.

Wielki Szlem!

Sabina.

Barwy! barwy!... jakie barwy?!

Anna.

Z daleka trudno rozróżnić.

Paweł (*patrząc przez lornetkę*).

Jedna niebieska, druga zielona.

Sabina.

Ach! zemdleję!

Lejbuś.

Einer blau, ander grün... ferfał di klaczke mit wajse kopytkies!

Atanazy.

Od czasu do czasu, to nic. Nadzieja nie stracona... Chłopak sprytny, słucha rady stryja. Mówiłem, od czasu do czasu... z miejsca w cuglach, wolno; niech tamci od czasu do czasu rwą, ty trzymaj. Oni, panie dobrodzieju, zaczną ustawać, ty puszczaj; oni ustaną zupełnie, ty wtenczas Szlema w ostrogi i wydobądź wszystkie atuty. Zdystansujesz ich, od czasu do czasu. Chłopak mądry—niema co mówić; zrozumiał, oszczędza. Dobrze, pysznie, niech oszczędza.

SCENA VI.

Ciż—Berek.

Berek (*wchodzi wolno i kłania się*).

Dzień dobry państwu! Ja widziałem, ja wszystkich widziałem. Naprzód jechał jeden pan—ale to nie był pan Karol. Bardzo ślicznie jechał... Potem jechali dwa panowie... Jeden nie był pan Karol, drugi na pewno był nie pan Karol; teraz przeleciał czwarty pan, taki podobny do pana Karola, jak ja (*wskazuje Annę*) do panienki.

Atanazy.

To nic, to nic... jeszcze wygrać może.

Berek.

Panie Plajterman, panie Lejbuś! ja myślę, co my możemy sobie pojechać dalej za interesami.

Paweł.

Jeszcze jadą, jeszcze jadą! jeden, za nim drugi, trzeci.

Sabina.

O Boże! to już na pewno on.

Ewa.

Może.

Anna (*patrząc przez lornetkę*).

Nie, nie.

Sabina.

Będzie to dla niego cała pociecha w nieszczęściu, że twoje śliczne oczy, Andziu, upatrywały go na drodze.

Paweł.

Ilu miało być wszystkich jeźdzców w wyścigu?

Atanazy.

Od czasu do czasu, ośmiu.

Paweł.

A ponieważ przejechało siedmiu, więc...

Plajterman.

Żeby ta komisya, co jest od nagrody, chciała zrobić swoje posiedzenie na wywrót, to pan Karol dostałby największą nagrodę.

(*Za sceną słychać szamotanie i krzyki:* „Puszczaj! nie tarmoś! ja sam pójdę!“).

SCENA VII.

Ciż—Polowy—Jacek, później **Katarzyna.**

(*Polowy wprowadza Jacka, który się wwyrya i szamocze*).

Atanazy.

Jacek!... A, ty bestyo! od czasu do czasu.

Sabina.

Jacek?

Ewa.

Jacek! Gdzie pan? Co się z panem stało?

Anna.

A, to człowiek z Kozich-dołków... Gdzież pan Karol?

Paweł (*do polowego*).

Dlaczego zatrzymujesz tego człowieka?

Polowy.

Wielmożny panie, to tak było: Idę ja sobie po służbie, patrzeć, czy szkody niema... tymczasem, ni stąd ni zowąd, pędzi koń rozhukany, spieniony, tratuje jęczmień—het, może z pół morgi wytłukł... za nim ten waryat, cudak jakiś, prze na drugim koniu, co jeno może wyrwać—i jak się poczną gonić, wytłukli jęczmienia sporo, że teraz wygląda jak po gradzie. Dobrze, że fornale nasi z wozami byli blizko—posiadali żywo na konie, złapali onego szkodnika i przyprowadziliśmy go tutaj.

Atanazy.

Ależ gdzie pan Karol?

Sabina.

Na Boga! Z konia spadł!... Może się zabił? Mówże...

Ewa.

No, czemuż stoisz jak słup?... Słyszysz, że cię pytają...

Anna.

Mój człowieku, nie trzymaj nas w niepewności... jesteśmy tak niespokojni.

Jacek.

Oj, zaraz... Tak mnie te psie dusze fornale zmordowały, że tchnąć nie mogę. Ich pięciu, a ja jeden,—alem ich też zeprał godnie.

SCENA VIII.

Ciż—Katarzyna.

Katarzyna (*wbiega zadyszana*).

Ola Boga! ola Boga! toż rozbój! Goniłam... krzyczałam: „stójcie, zbóje!... to nasz Jacek... Jacek... nasz Jacek z Kozich-dołków...“—a te zbereźniki, te obwiesie, te zbóje nic, jeno go kudłały i miętosiły, że mało duch z chłopa nie wyszedł.

Złapałam kamienia, chciałam (*wskazuje na polowego*) temu dziadowi łeb rozbić, ale nie doleciał.

Plajterman (*do Lejbusia*).

To jest niedobra awantura. My się lepiej schowajmy, żebyśmy nie byli za świadków.

Lejbuś.

Czekaj-no, czekaj. Na ucieknięcie zawsze jest czas.

Paweł (*do Jacka*).

Mówże-no, człowieku, jak to było. (*Do polowego*): Możesz odejść. Konie rozsiodłać i do stajni.

Jacek.

Wielmożny panie... stanęliśmy do wyścigu—ja miałem jechać za panem. Z miejsca dobrze poszło. Wielki Szloma zaraz wysforował się naprzód.

Plajterman.

Hörst du, Lejbuś... er zugt Wielki Szloma.

Lejbuś.

Wart ir—czekaj.

Jacek.

Wysforował się i parł a parł, okrutnie nogami przebierał. Inne panowie pozostawali. Przejechaliśmy ze trzy mile — pan woła: „stój!“ Stanęliśmy. Oglądam się—tamtych nie widać. Wielki Szloma tęgo był zgrzany, mój

Cygan—bo ja na Cyganie gnałem—jeszcze bardziej. Staliśmy ze dwa pacierze. Pan powiada: „stępa!“ Przejechaliśmy wiorstę stępa. Pan wypalił sobie papierosa i mnie też dał—to było koło Obleśnej, blizko mostu, — wypalił, rzucił resztę na ziemię i woła: „kłus!“ Zaczęliśmy znowu przeć zdrowo — tamtych nie widać... A ja sobie myślę: zagonki pewne, co pan obiecał, jak weźmiemy nagrodę.

Katarzyna (*n. s*).

A juści, pewne! Byłyby, żebyś tego drandrygę Wielkiego Śledzia pilnował; teraz zagonki przepadły, i krowa przepadła i kochanie przepadło.

Jacek.

Przejechaliśmy przez most, przez las—jedna wieś nic, druga nic, w trzeciej nieszczęście... ogień—chałupa się pali... I byłoby wszystko bajki, ale dyabli nadali babę. Wytknęła łeb z dymnika i drze się: „kto w Boga wierzy, ratuj!“ A tu ogień obejmuje, a ludzie pogłupieli—stoją jak barany i patrzą... Pan, niewiele myśląc, hyc z Wielkiego Szlomy—cisnął mi cugle i mówi: „trzymaj!“ Wdrapał się po słupie na dach. Jezu, ratuj! — prawie że w ogień wlazł.

Anna.

O, mój Boże!

Sabina.

Jezus, Marya!

Atanazy.

A to, od czasu do czasu...

Lejbuś (*do Plajtermana*).

Ładny wyścig!... Tak stracić 2,000 rubli i medal — to głupstwo jest!

Plajterman.

Oszukaństwo jest, szwindel.

Paweł.

No, kończ-że, kończ!

Jacek.

Ano kończę. Ludzie zbaranieli, jam zgłupiał... Wiatr się obrócił, buchnęło mi czarnym dymem prosto w ślepie—nie widziałem nic, może przez pacierz, może przez dwa. Dopiero jak trochę się rozeszło, patrzę: pan się zsuwa po dachu, czarny cały, babę trzyma pod pachy... spuścił ją na dół... ludzie pochwycili... a sam skiknął na ziemię. I zaraz, ledwie że zdążył skoczyć, jak ci płomień buchnie; pułap przepalony się zapadł, rzygnęło iskrami jak z piekła... że zaś ich sporo padło na łeb Wielgiemu Szlomie, jak się szarpnie, jak wierzgnie, wyrwał się—tylem go i widział! Dźgnąłem Cygana ostrogami i pognałem za Szlomą. Byłbym go tu schwytał, żeby nie te zbójce, psie portrety, co mnie złapali... Teraz wszystko przepadło: i zagonki, i krowa i Kaśka... bez jedną babę zatraconą!

Katarzyna (*wybucha płaczem*).

Wszystko, wszystko przepadło: i Jacuś i krowa... chyba ja się utopię sierota.

Plajterman.

Słyszysz, Berek?... ta dziewka potrzebuje sobie utopić.

Berek.

Co nam do tego? To jest amatorski interes...

Anna.

Proszę ojczulka, trzebaby posłać po pana Karola bryczkę. Może się poparzył, może skaleczony.

Sabina.

Złote serce, anielska dusza. O, Andziu! ty jesteś największym skarbem na świecie!

Paweł.

Nie tylko poszlę, Andziu, ale sam pojadę po niego.

Atanazy.

Od czasu do czasu i ja z sąsiadem.

Sabina.

I moje miejsce jest przy najdroższym moim Puciu!

Atanazy.

Nie nazywajże go pani tak szkaradnie... Chłopak może się pokaleczył, może cierpi, a pani mu od jakichś tam Puciów wymyślasz.

Ewa.

Jabym też chciała jechać z panami. Bardzo być może, że mu pomoc potrzebna.

Paweł.

Nie... zostaniecie panie tutaj, przy Andzi. (*Do Katarzyny*): A ty, dziewczyno, biegaj żywo do stajni i powiedz Wawrzyńcowi, żeby natychmiast zaprzęgał.

(Katarzyna wychodzi).

SCENA IX.

Ciż—Uszer, później **Karol.**

Uszer.

Aj waj! aj waj! To była awantura, to ładny fajer był.

Sabina.

Uszer stamtąd wraca?

Uszer.

Ja wcale nie wracam, ja tu jestem, ale wszystko wiem... pan dziedzic każe posyłać po naszego pana. Nie potrzeba zaprzęgać—pan przyjechał chłopskim wózkiem i zaraz tu przyjdzie, tylko musi się trochę oczyścić, bo wygląda jak kominiarz.

Wszyscy.

Jest? jest?...

Plajterman.

Ładny wyścig!

Lejbuś.

Ta baba mu chyba da nagrodę.

Uszer (*do Lejbusia*).

On nie ma dobry gang w głowie.

Karol (*wchodzi, kłania się wszystkim i mówi wprost do Atanazego*).

Wszystko przepadło, stryjaszku... jestem zdystansowany! Wszystkie nadzieje, jakie pokładałem na wyścigu i wygranej, rozwiały się jak dym.

Plajterman (*n. s*).

On gada jak uczciwy bankrut. Ciekawość, co zaproponuje wierzycielom.

Karol.

Stryjaszku, starałem się, ale zaszła nieprzewidziana przeszkoda, o której niema co wspominać. Wracajmy do domu... wszystko, wszystko stracone!

Anna.

Przepraszam pana, nie wszystko... Wiemy, co się stało, i dlatego, że się tak stało, dlatego, żeś pan tak postąpił, ja daję odpowiedź na zapytanie...

Karol.

Pani!

Anna.

Oto moja ręka... Ojczulku, wszak zgadzasz się?

Paweł.

Zgadzam, Andziu. Gdy młody człowiek ma serce szlachetne i odwagę, już ma bardzo wiele. Resztę wyrobi. Panie Karolu, bądź moim synem.

Sabina.

O, nieba! Puciu, jesteś najszczęśliwszy z ludzi!

Uszer (*do Plajtermana*).

Hörst du... Bałd es wird a Hasene. Azaj szejne Kałe, azaj bogate Mechuten... Plajterman, Lejbuś, Berek, wy się jemu nizko kłaniajcie.

Paweł.

Ale, panie Karolu, warunek.

Karol.

Choćby sto!

Paweł.

Rozpoczniemy nowy trening—tym razem gospodarski. Jacka pozbawimy ostróg i zapędzimy do sochy... panów Plajtermana, Lejbusia, Berka i Uszera spłacimy.

Plajterman.

Po co?

Lejbuś.

My nie rozbójniki... Chętnie będziemy prolongować.

Berek.

Oj, oj! dla takiego pana, dla takiej osoby!

Paweł.

Dziękuję panom, ale nie trzeba. Wielkiego Szlema zaprzęgniemy do brony.

Uszer.

Aj waj! Wielki Szelma bronowłoka!

Atanazy.

Od czasu do czasu, protestuję! Wielki Szlem po Bezatu... a, kochany sąsiedzie, przepraszam, jego matka była Konwersya, jego babka Debora... jego prababka...

SCENA X.

Ciż—Katarzyna.

Katarzyna (*zbliżając się do Jacka, n. s., trącając go w bok*).

Adyć się pokłoń, Jacuś, o te zagonki... kiej są teraz tacy kontentni, to może ci i dadzą.

Jacek (*kłaniając się Karolowi do kolan*).

Wielmożny dziedzicu... Wielgi Szloma zdradził i nie wygrał, ale moja obietnica...

Karol.

Twoje zagonki, twoja krowa, twoja Kaśka... Bądź szczęśliwy, Jacku, jedz choćby ćwiercią kartofle i kluski... trening, skończony na zawsze.

Jacek (*obejmując Katarzynę*).

Moja krowa! moja Kaśka!

Katarzyna.

O, niechże panu setnie Pan Jezus wynagrodzi w majątku, we zdrowiu, w dobytku!

Sabina (*n. s*).

Szczęśliwa Andzia! Ona nie zabiła człowieka, jak ja wówczas...

Paweł.

Zostańcie już państwo u nas do wieczora.

Atanazy.

Szelma imię moje, jeżeli Wielki Szlem, od czasu do czasu, nie wygrał.

Plajterman (*wraz z Uszerem, Berkiem i Lejbusiem zbliżają się do Karola i Anny*).

Winszujemy państwu, bardzo winszujemy, żeby państwo mieli zdrowie, szczęście, duży kredyt...

Atanazy.

Od czasu do czasu, lepiej nie.

Uszer.

Winszujemy, bardzo winszujemy i krzyczymy wielkim głosem: wiwat! (*Do Lejbusia*): Lejbełe, ruf a wiwat!

Plajterman, Lejbuś, Berek i Uszer.

Wiwat! z wielkim gwałtem... wiwat!

Lejbuś.

Wszystko ładnie jest: chłopu się chałupa spaliła, pan się ożeni, a my odbierzemy nasze pieniądze—a git geszeft!

KONIEC.

KSIĘGARNIA

TEODORA PAPROCKIEGO I S-KI

w Warszawie, Nowy-Świat № 41.

Poleca następujące nowe dzieła, własnym nakładem wydane:

	Rs.	k.
Nałkowski Wacław. Zarys geografii powszechnej rozumowej). Wyd. II	2	50
Okniński F. Mały podręcznik weterynaryi popularnej, zawierający sposoby niesienia pomocy chorym zwierzętom. Wydanie drugie	—	6
Or-ot. Mały Sowizdrzał Książeczka dla dzieci. Z obrazkami kolor.	1	20
— (Artur Oppman). Pieśni. Rs. 1, w oprawie	1	50
Perez Bernard. Charakter od lat dziecięcych do wieku dojrzałego Przełożył R. D.	1	50
Podręcznik księgarski. Przewodnik praktyczny dla wydawców, księgarzy, pomocników i praktykantów księgarskich. Na podstawie swojskich i obcych źródeł opracowany pod redakcyą Teodora Paprockiego. Zeszyt I i II. Cena zeszytu . .	—	75
Prażmowska Teresa. Podarek Babci. Z illustracyami Henryka Piątkowskiego. W oprawie	1	—
— W dziewiczych lasach Ameryki. Powieść dla młodzieży. Z rysunkami. W oprawie	1	—
Preyer W. Rozwój umysłowy dziecka od pierwszego dnia życia oraz wskazówki do czynienia obserwacyi dla rodziców i wychowawców. Przekład z niemieckiego d-ra M. Flauma .	—	—
Prus Bolesław. Opowiadania wieczorne	1	80
Rehfisch Eugeniusz d-r. Samobójstwo. Studyum krytyczne. Z oryginału niemieckiego przełożył Wiktor D.	—	60
Rodziewiczówna Marya. Na fali. Powieść współczesna	1	50
Rogosz Józef. Czarny Prokop. Powieść, osnuta na tle życia opryszków karpackich	—	75
— Zerwane struny. Powieść współczesna	1	50
Rojan Kazimierz. Dla iskry Bożej. Powieść	—	—
Sirko Wacław. Na kresach lasów. Opowiadanie	1	80
Strzemeska J. i **Weryho M.** Wychowanie przedszkolne. Podręcznik dla wychowawców. Z licznymi drzeworytami w tekście i 30 tablicami litografowanemi Rs. 2. W kartonie	2	25
Szaniawski Bronisław. Dzisiejsze małżeństwa. Szkice obyczajowo-społeczne	—	60
Teresa Jadwiga. Walka. Kilka epizodów z wojny francusko-pruskiej w kartonie rs. 1 kop. 20, w oprawie ozdobnej	1	70
Trepka Mścisław Edgar, d-r filozofii. Anglia i Anglicy. Studya . .	2	50
Zagórski Włodzimierz Poezye. Z teki Chochlika. Nowa serya . .	1	20
Zeisel S. d-r. Chemia (nieorganiczna i organiczna). Ogólny wykład zjawisk chemicznych oraz ich zastosowania w życiu praktycznem. Z 2‹1 drzeworytami w tekście. Z oryginału niemieckiego przełożył d-r M. Flaum	6	—